



N^o 44.

Prenumerata w Warszawie
rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 28 października 1876 r.

Prenumerata
na prowincyi i w cesarstwie
kwartalnie rs. 3.

Tom II.

Treść numeru. Dr. Ferdynand Dworzaczek (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Matka (drzeworyt). — Muzeum Kopernikowe w Rzymie (z drzeworytem). — Przegląd polityki zagranicznej. — Z widowni wojny (drzeworyt). — Rebus. — Listy ze stolicy Węgier. — Korespondencya z Krakowa. — Szewskie dziecko, powieść (dalszy ciąg). — Pojedynek szlachejnych, komedia (dalszy ciąg). — Listy z wystawy filadelfijskiej (dalszy ciąg). — Sztuka włoska w epoce odrodzenia (dalszy ciąg). — Kobieta w Indyach, jej przeszłość i przyszłość (dalszy ciąg). — Stefan Lawrence, powieść (dalszy ciąg).

DR. FERDYNAND DWORZACZEK.

Harmonia myśli, słowa i czynu, czyż to nie tytuł do chluby? A myśl, jeśli stale się zwraca ku istotniejszym zadaniom życia i płodzi czyn w pożytku obfity; a słowo ciepłe, jeśli się chowa zawsze gotowe na usługi szlachetnego czynu, czyż to nie tytuł do uznania?

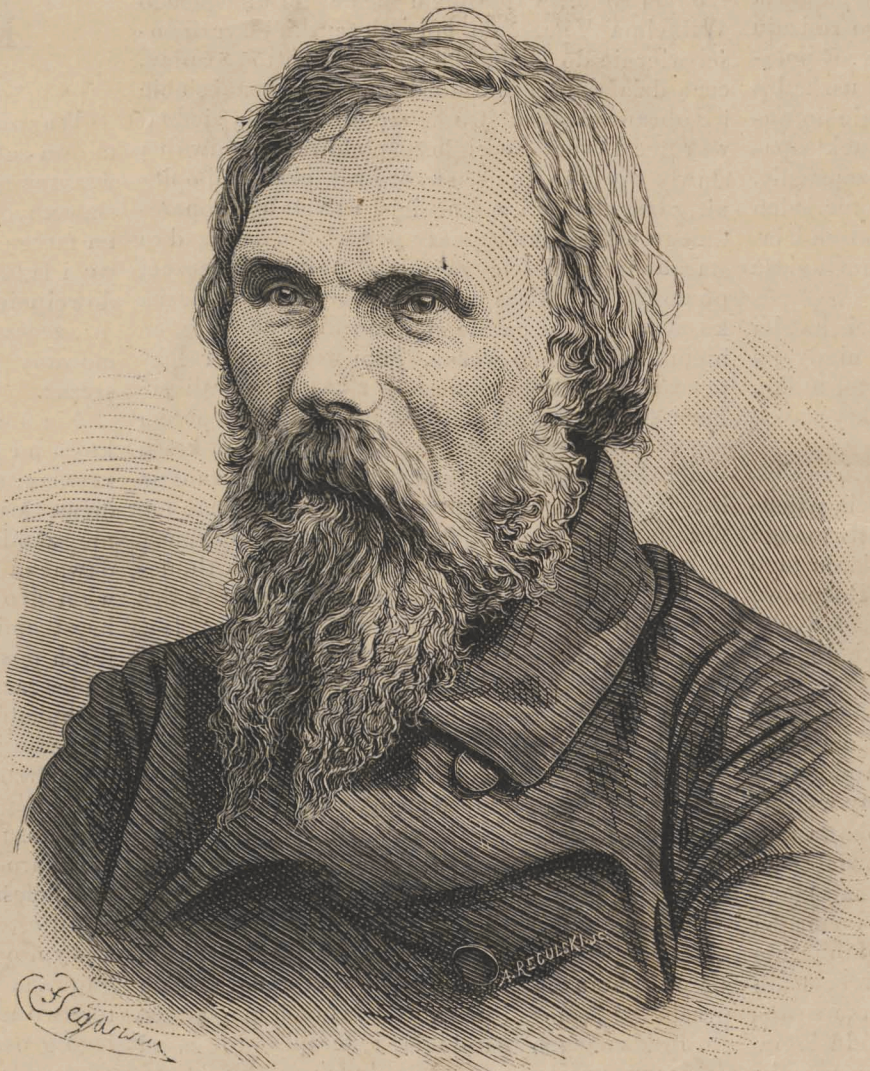
Takiego uznania i takiej chluby, drogiej podobno nagrody mężów zasługi, nie przestał dobijać się pomiędzy nami i zbierać na ciernistém polu życia poświęconego zawodowi lekarskiemu Ferdynand Dworzaczek. Przed 40-tu laty doświadczony i wpływowy lekarz; przed 30-tu wypróbowany mistrz prawd klinicznych, przy łóżku chorego wygłaszanych; przed 20-tu, mimo kaléctwa, co go na względą skazywało bezczynność, dzielący się z ogółem kraju myślą filozoficzną, co ją ze zbolaléj wydobywając pierś, zwykł był nadsyłać na publiczne posiedzenia Towarzystwa lekarskiego warszawskiego, ubraną w dostojne szaty porywającego odczytu: w sercach i w umysłach naszych niezatarte swéj działalności zostawił ślady.

Urodzony w Prusiech zachodnich w r. 1804, w Warszawie pod opieką wuja chlubnie ukończył szkoły pijarskie. W b. uniwersytecie warszawskim student medycyny, nie zaniedbujący uprawy tak zwanych humaniorów, wyrobił w sobie sąd zdrowy i prawy. Udał się następnie, celem łatwiejszego z bogacenia przedmiotowej wiedzy, za granicę, gdzie w Lipsku i w Berlinie wysłuchał kursów lekarskich. Umysł otwarty i patrzący jasno, a w nauce szukający przewodnich zasad użytecznego w życiu działania, nie znalazł zaspokojenia w ówczesnej medycynie niemieckiej, która w ogóle wzięta, wydała mu się raczej sztuką uprzywilejowanego przez próżną uczoność wyrokowania w sprawach powoływanych przed sąd nieuprawnionych spekulacyj. Bier-

kowski i Gałęzowski, z którymi się około tego czasu zaprzyjaźnił, znaleźli w chirurgii, trzeźwiej i tu uprawianej i znakomitych podówczas w Berlinie liczącej przedstawicieli, pole odpowiedniejsze wymaganiom rzetelnie pożytecznej pracy. Dworzaczek zaś, blizki zniechęcenia do medycyny tak zwanéj wewnętrznej, której się najgorliwiej oddawał, doznał nowéj w swych usiłowaniach podniety, rzuciwszy się, za wskazówką innego jeszcze z ziomeków, Aleksandra Lebruna, do dzieł obznajmających go ze zdobyczami wykwitającej podów-

czas we Francyi szkoły fizyologicznej, której téż wyższość, lubo w Niemczech traktowanej wtedy z pyszném lekceważeniem, sprawdzić niebawem przy łóżku chorego skromnemu praktykantowi klinicznemu nadarzyła się dotykalna sposobność.

Dłużéj się już nie wahał, gdzie szukać we własnych swoich dążeniach oparcia, i wkrótce udał się do Paryża, aby się oddać studjom patologicznej anatomii i diagnostyki fizycznej, uważanych w Niemczech za ciekawostki, a znanych mało co więcej jak z nazwiska. Nie było wszakże wolném nowatorstwo francuzkie od wad wszelkiemu nowatorstwu właściwych: od lekceważenia nabytków przeszłości nauki, od prostego przeczenia wszędzie, gdzie własnego tłumaczenia brakło, a zbyt technicznego zaufania doktrynie, przeto że noworzucala światło na pewien obręb życiowych zjawisk. Takimi wadami odznaczał się mianowicie zastęp zdolnych zwolenników nauki Broussais'go, najwiewniejszych przedstawieli niecierpliwego ducha czasu, wiarą w bezwzględność rozumu roztrącającego powagi. Dworzaczek w Niemczech nawykł już zbierać, co rzeczywiście użytecznego gdzie spotkał. W lipskiej klinice czcigodnego Clarus'a dostateczną znalazł sposobność przejęcia się prawdą zdjętą z natury wyrzeczén starych mistrzów klasycznego rokowania ze znaków, a w Berlinie trafność spostrzeżeń Rust'a, uczącego wnioskować z nielicznych cech zewnętrznych okaléczaléj części ciała o właściwościach ogólnych chorego, dała mu poznać, choćby już sama, istotną stronę wartości mniemań należących do rzędu tych, które nowsza szkoła odrzucała bez namysłu. Obeznał się téż w Niemczech ze skarbcem środków leczniczych, nieco obciążającym spadkiem po alchemicznej mądrości, z którego we Francyi, w szybkim pochodzie po torowanej świeżo drodze postępu, mało co unieść zdołano. Patrząc na rzekome bo-



Dr. Ferdynand Dworzaczek.

gactwo tego skarbcza, w pospolitem użyciu nie tak zbyt wielką podobno przedstawiającego wartość, to jednak dobrze zrozumiał, że są w nim rzeczywiście ukryte potężne siły, które sobie na posługę przyswoić jest obowiązkiem rzetelnej nauki, gdy właśnie prostym długiem, jaki lekarz zaciąga domyślnie względem społeczeństwa, co mu wierzy, jest uzdolnienie się do zmieniania na lepsze, i to w najskuteczniejszy sposób, nie zaś do sledzenia przyrodniczo ciekawych szczegółów przebiegu spraw chorobnych.

Właściwej Dworzaczkowi oględności w postępowaniu, a prawym dążeniem do rzetelnego uiszczenia się z przyszłych obowiązków nie brakło już zatem skutecznej broni wyrobionego doświadczenia, wobec doktryn wrzących namiętnością, a podniecanych dumą z dokonanych zdobyczy. Od dążeń stronnicych jak był dalekim, za dowód posłużyć może, że gdy przeważną we Francji doktrynę irytacyi, dźwignię ówczesnego postępu nauki, sam w umyśle swym uzupełnił i śmiało powiedzieć możemy stworzył nową teorią zapalenia, jako podstawowego w patologii faktu, od tyłu innych dawniejszych i najnowszych bez wątpienia wcale niepośledniejszą—nie chciał jęj nigdy sam nadać rozwinięcia systemu, z obawy nadużyć źle zrozumianego jęj w praktyce stosowania. Wybaczą czytelnicy, że w tém miejscu poświęcimy słów kilka rzeczy tęg, nawet w świecie lekarskim mało znanę, choć podobno nieobcej słuchaczom prof. Bierkowskiego, który w Krakowie z katedry chirurgicznej podnosił zasługę Dworzaczka.

Dwa są elementarne objawy wszelkiej chwilowej zmiany w tkankach: jeden dotyczy dowozu soków, drugi stanu napięcia. Chorobny nadmiar dowozu, punkt wyjścia licznych zboceń, na który szkoła francuzka główną zwracała uwagę, nosi nazwisko kongestyi. Chorobny stan napięcia, szczególnie drażliwością obdarzonych elementów tkanki, zasługuje na ogólne miano spazmu. Uszkodzenie utkania jest wynikiem powodującej go sprawy chorobnej, pospolicie przedstawiającej się jako zapalenie, czy to naglęj, czy przewlekle przebiegające. Zapalenie, owa najbliższa przyczyna zapalnego uszkodzenia tkanki, jako sprawa, jest faktem złożonym, zarówno spazm, jak i kongestya w sobie obejmującym. Niema zapalenia bez właściwego rodzaju spazmu (wadliwego napięcia w tkankach) i niema go bez właściwego rodzaju kongestyi (wadliwego dowozu). Naodwrot połączenie obu tych elementów chorobnych uszkadza urzędowanie tkanki i prowadzi koniecznie do wadliwego jęj odżywiania, czyli daje początek zapaleniu. Stan tego połączenia, czyli samo zapalenie, nazwać można spazmo-kongestya. Uwolnić jeden z wymienionych elementów zapalenia od oddziaływania nań drugiego, byłoby to właśnie znieść zapalenie.

Tak rozumował Dworzaczek, wyższości swojej teorii dowodząc zastosowaniami, lecz nigdy jęj nie użył ani za naukową reklamę, ani za formułkę, w którejby chciał zasklepić swobodę praktycznych swoich wyjaśnień.

Po powrocie do kraju pozyskał zaszczytny tytuł doktora medycyny w b. uniwersytecie wileńskim, którego wydział lekarski, tak zasłużonego używający rozgłosu, nader był w udzielaniu tego stopnia oględnym, a nawet skąpym. Rozprawę swoje inauguralną: „*De morbis cutis sypthiliticis*“ ofiarował chlubię dziejów krajowej nauki, Jędrzejowi Sniadeckiemu.

Wkrótce gotowej do poświęceń działalności nowe odkryło się pole. W czasie przerażenia, wywołanego wybuchem cholery, po raz pierwszy zjawiającej się w Europie, aby dać jawny wszystkim dowód, jak dalece płonną byłaby obawa zętknięcia się z ciałami rażonych tém powietrzem, a tém samém obawa niesienia chorym należnego ratunku, w Zamościu, gdzie się u nas ta choroba najprzód objawiła, dokonał sekeyi publicznie i pomoc lekarską urządził, a po powrocie do Warszawy zaszczytnie odznaczony za taką zasługę, obok innych zajęć, objął jeden z oddziałów szpitala cholerycznego w Bagateli. Po ustaniu cholery, raz jeszcze zwiędził kliniki zagraniczne, a głównie Paryża, bezsprzecznie podówczas ze

wszystkich najlepsze, gdzie jakkolwiek pociągał go ścisły w rozumowaniu a w krytyce nieublagany *Louis*, jakkolwiek *Bouillaud* i tyłu innych olśnięwało świetnym wykładem, jedno z najmilszych wrażeń pozostawiła mu po sobie osobistość zacnego *Choméla*, co poprzestając na zasłudze wysoko oświeconego eklektyka, wolny od uprzedzeń ścięrajających się ze sobą doktryn, wszystko w nich użyteczne trafnie oceniał, a przy pewności diagnozy, na korzyść chorych obracać umiał.

Dworzaczek w r. 1835 osiadł stale w Warszawie i pierwszy w kraju naszym począł krzewić zasady tak zwanęj racjonalnej medycyny. Wiele uprzedzeń zwalczać musiał. Wiele odnosił tryumfów ze zwycięskiego stosowania metod, do których powoli wprawdzie, ale wszyscy zaczęli się wkońcu nakłaniać, nie wyjmując tych nawet, co im niełatwo było posługiwać się niemi z taką jak Dworzaczek pewnością i tak świetnych przy ich pomocy odnosić rezultatów leczenia. A bezinteresownością, a uczynkami miłości bliźniego nikomu zwyciężyć się nie dał w gronie lekarzy, które się tak korzystnie temi cnotami odznaczało. Staranny i zawsze na najmniejszą potrzebę zdrowia baczny, w przebiegu choroby wczesnie zabiegający najdrobniejszemu przytrafić się mogącemu wypadkowi, trawiący się niepokojem wobec niebezpieczeństwa zagrażającego zdala, a wobec wydarzonego stanowczy w działaniu, był wielbiony jako prawdziwy dobroczyńca rodzin, które się jego powierzały opiece, możnych zarówno jak biednych, tak iż bardzo chyba rzadko która, raz go wybrawszy za swego doradcę, nie dochowała mu już stale do fanatyzmu często posuwanego zaufania. Do czynów przyjaźni, zarówno jak i dobroczynności skory, trafnej w przeróżnych potrzebach rady i pomocy nikomu nie skąpił i w oddawaniu usług największe zawsze znajdował zadowolenie; lecz nieugięty w zdaniu wypowiedzanem ze stanowczością głębokiemu przekonaniu właściwą, choć często osłanianem atycyzmem nieublaganych aluzyj, wyższością umysłu raczej, niż ustępstwami nawykł holdować sobie przyjaściół.

Najsławniejsze dowody swoich naukowych, zarówno jak organizacyjnych uzdolnień, złożył w warszawskim szpitalu ewangelickim, powierzonym sobie za staraniem cenić go umięjącego *Wilhelma Malcza*, co mu koleżeńskięj życzliwości wiernie do grobu dochował. Tęj to lecznicy, ceną działalności niezmordowanęj a pewnej siebie i z obranego toru strpic się niedającęj, zjednał wkrótce Dworzaczek głośną podówczas podwójną sławę: raz jako miejscu wzorowęj lekarskięj opieki, gdzie chorzy i zamożniejsi nawet, bez poprzedniego u nas takięj rzeczy przykładu, nierzadko starali się pomieścić za opłatą, pewni skutecznej pomocy, biedni zaś często własnym Dworzaczka kosztem pomieszczenie znajdowali; a powtóre, co niemniej podobno ważne, jako w gruncie rzeczy prawdziwęj szkole klinicznęj, z której starali się korzystać zdolni młodzi lekarze, co z nich potem niejeden zasłynawszy najzasłużeńszą w kraju wziętością, imienia Dworzaczka z wdzięcznością i uwielbieniem zasłudze należnem wspominać nie przestawał. Rzadki dar obserwacyi, czujność w kontrolowaniu znaków, biegłość w ich tłumaczeniu i użytkowywaniu, a przytęm również czujne i na wszystkie strony oględne, lecz nieublaganie konsekwentne stosowanie wskazanych środków leczenia, w oczach ludzi nieoświeconych przybięrające pozory ryzykownęj śmiałości, dziwnie szczęśliwym, jak to mówią, wieńconęj skutkiem, oraz w takich warunkach rzeczywiście pomyślne wypadki tęg całej działalności, zapewniały warszawskiemu szpitalowi ewangelickiemu, pod kierunkiem Dworzaczka, stanowisko zaprawdę nie niższe od najlepszych w Europie klinik, tém bardziej, że otoczony kółkiem słuchaczy, których rad był widzięć wokoło siebie zebranych, dobitnem słowem umiał w nich przelęwać jasność i pewność własnych poglądów, sprowadzających patologię i terapię do zasad prostych, przystępnych i płodnych.

Rozpoznawanie form chorobnych ułatwiał wybitnem konturowaniem ich obrazu. Patogenię opię-

rał na fizyologii. Rokowanie na znakach, które mu nie chybiały. Wskazania leczenia brał z umiejscowienia zboceń, które ściśle określał. W leczeniu chorób przewlekłych, zarówno jak ostrych, najszcześniejsze wypadki zawdzięczał ścisłemu, to jest wczesnemu i dostatecznemu stosowaniu antyflogozy, a także metody odciągającęj. Przeciw nagromadzeniu płynu w torbach błon surowicznych uczył, jak skutecznęm jest zewnętrne użycie chlornika rtęci. Empyemata otwierał z pomyślnym skutkiem, jak i inne wewnętrne ropnie. W gorączkach, jako jeden z najważniejszych momentów leczenia, wskazywał usunięcie gastrycznego stanu, przez dostateczne zastosowanie leku wymiotnego. Przymiot następczy, niedający się zwalczyć metodą *Dzondięgo*, leczył doszczętnie stosowaniem wcięrań metodą *Rusta*, jako najpotężniejszým środkiem metasynkrytycznym, uwalniającym od następstw leczenia merkuryalnego, dokonanego połowicznie. Wogóle uczył, jak szkodliwým bywa wahające się zatrzymywanie w działaniach lekarskich raz przedsięwziętych, doprowadzające chorobę do powikłania przebiegu naturalnego z zaburzeniem sztucznie wywołanęm; przeciwnie, jak wszelka sprawa ostra, doprowadzona do wyczerpania wszystkich swych podniętych pomyślnymi drogami, choćby i z burzliwym przebiegiem, pozostawia miejsce wygaśnięciu źródła częstkowych zaburzeń i pomyślniejszemu zwykle niż przed jęj rozpoczęciem stanowi zdrowia. Najpomyślnięj stosował w terapii wewnętrznęj zasadę dawną, rzeklibyśmy odpowiednią tęg, jaka po dziś dzień, w chirurgii przynajmniej, nie straciła pełnego uznania, że wszelką tensyą zbyteczną, nieustępującą środkiem rozmiękczającým, znieść należy choćby rozcięciem powłok, byleby dostatecznem, a wszelkiemu ściekowi nadać kierunek najodpowiedniejszy. W ostrych bowiem szczególnie chorobach działaniem raczej rozluźniająćem, ile możności, ułatwiał przepływ soków, a kierunkowi wydzielen główną poświęcał uwagę. Do ulubionych także jego środków należało wrażanie igieł (*acupuncture*), jako sposób prędko i pewno znoszący różne chorobne nerwowe napięcia, nawet uparte.

(Dokończenie nastąpi.)

Kronika tygodniowa.

Warszawa jest miastem gościnnęm i dlatego to mięwa zawsze mnóstwo gości. Śpieszą do nas wszyscy napewno, wiedząc, że ciekawość sławetnych mieszkańców grodu syreniego hojnie im fatygę oplaci. A ciekawość ta niewiele wymaga i lada częm się zadowala. Potrzebuje tylko dowcipnie obmyślonęgo afisza, szumnęj zapowiedzi, zręcznęj reklamy, a już sam przedmiot reklamowany może być lichym i zapowiedzi nie ziszczać.

Nie powiemy tego o sławnęj rodzinie Bratzów, która od kilku tygodni, gwoli ciekawości Warszawian, naraża się na skręcenie karku. Ta rodzina jest fenomenem *sui generis*... I nie jęj to nie szkodzi, że jedna z pańien Bratz skręciła niedawnemi czasy kark, puściwszy się w trykotowym stroju o lepsze z najrzęczniejszemi ekwilibrystkami na świecie... Ta heroiczna dziewica niech posłuży za wzór tym wszystkim, którzy umięją zaczynać, ale nie mają odwagi kończyć... po bohaterzku.

Teraz jednak o sławę i pięrwszęństwo z Bratzami walczy przesłiczna *Marya Bacchi*, kobięta... z brodą! I to fenomen, a zarazem grube szyderstwo losu. Miękkość i tkliwość niewięscia w parze z brodą... na jednęj i tęg samęj twarzy! Toż to ucieleśniony kontrast, pogwałcenie wszelkich zasad estetycznych. Ale to nie przeszkadza ciekawym oglądać owę niewięscia brodę, wypięlegnowaną bardzo starannie. I to przecięż bohaterzstwo niemałe: poświęcenie bez granic dla mięłego grosza. Wyobraźcie sobie kobiętę, która się szpeci dla zysków... to nie tak łatwo!

Po za sferą jednakże sztuczek miało miasto nasze i przyjemność istotnie szlachetną, chociaż

z niej niebardzo korzystać chciało. Notujemy tu bytność w Warszawie kwartetu dam szwedzkich, które wystąpiły publicznie po razy kilka, a mimo to żywszego powodzenia dopiero pod sam koniec doznały. A przecież warto było posłuchać śpiewu tych pań, które z pod nieba dalekiej północy przywiozły z sobą gorące poczucie harmonii, wdzięku i piękna. Wyobraźcie sobie jedność zupełną w zlanu się czterech głosów dźwięcznych, pełnych, brzmiących uczuciem wysoce artystycznym. Wyobraźcie sobie...

Ale nie moja to rzecz mieszać się do spraw muzycznych. Nie powiem więc już ani słówka o tych słowikach szwedzkich, które już odleciały z Warszawy.

Szkoda żeście ich nie posłuchali liczniej.

Wystawione od kilku tygodni, w księgarni Gebethnera i Wolffa, studia charakterystyczne Henryka Siemiradzkiego, przedstawiające popiersia dwóch kobiet, w przybraniu fantastycznym o ile wiemy, dotychczas nie znalazły nabywcę, chociaż artysta fundusz, ze sprzedaży ich pozyskać się mający, przeznaczył na wspomnienie podpadłej rodziny. Cena na dwa te utwory znakomitego pensla oznaczoną została po rs. 150, z nadmienieniem że pozyska je ten, kto da więcej.

Obecnie upoważnieni jesteśmy do ogłoszenia, że ofiarowanie ceny wyższej nad rs. 150 nie będzie już wymaganiem. Dla miłośników sztuki krajowej następcza się więc pożądana sposobność nabycia dwóch dzieł słynnego dziś w Europie całej, ba, nawet za oceanem, twórcy „Pochodni chrześcijaństwa“, za niską stosunkowo cenę.

Miałoby u nas zabraknąć lubowników malarstwa, którzyby zbiory swoje z bogactw chcieli pracami jednego z najznakomitszych malarzy polskich i... spełnić zarazem dobry uczynek?.. Nie możemy tego przypuścić. Oby tylko nabycie tych obrazów nie przewlekło się zbyt długo, choćby ze względu na cel szlachetny i mądrą maksymę starożytną: „bis dat, qui cito dat.“

Inną nowością z dziedziny sztuki jest zapowiedziana świeżo reprodukcja obrazu olejnego p. Tytusa Maleszewskiego: „Zosia, z poematu Pan Tadeusz.“ Artystyczne to odtworzenie wdzięcznego bardzo obrazka wyjdzie wkrótce z pracowni p. Władysława Walkiewicza. Będzie to litografia wielkich rozmiarów, odbita na pięknym, grubym papierze i wykonana z najtroskliwszą starannością. Widzieliśmy u p. Walkiewicza robotę na kamieniu, w połowie już ukończoną. Młodziutka Zosia, w bieli i boso, jak ją opisał wielki nasz Adam, stoi przed płotem pośród drobiu, trzymając na lewem ramieniu sito z ziarnem, a prawą dłonią

Czerpie z sita i sypie na skrzydła i głowy Ręką, jak perły białą, gęsty grad perłowy.

W głębi, ponad drzewami ogrodu, widać szczyt dworu w Soplicowie, z którego śliczna dziewczynka tylko co wybiegła. Całość obrazu p. Maleszewskiego pomyślana jest z wielkim wdziękiem i poczuciem poetycznym; zarzucićby tylko można, że twarzyczka Zosi trochę zanadto jest dziecinna.

Prenumeratę na sympatyczny ten utwór, po rs. 3 kop. 50 za egzemplarz, przyjmują księgarnie p. p. Gebethnera i Wendego. Po wyjściu cena ma być podniesioną na rs. 5.

Czy tego już niezawiele?..

Oto znowu wychodzić będzie nowe pismo codzienne, p. t. „Echo“, pod redakcją p. Zygmunta Sarneckiego. Pismo to literacko-społeczne nie ma wprawdzie konkurować z pismami już istniejącymi, niemniej jednak nie ustrzeże się ono tej konkurencji, chociażby z powodu, że liczba ogólna naszych prenumeratorów już i tak jest silnie wyciągnięta.

Ha!... obaczmy. Nowego przybysza, który zapewne ukaże się z początkiem roku przyszłego, serdecznie przywitać się godzi—witamy go więc,

życząc mu powodzenia, bez szkody innych. A jeżeli przez staranną i umiejętną redakcją wzniesie się wyżej nad inne, to powitamy go bardziej jeszcze serdecznie, jak wszystko co dobre i pożyteczne.

Z dawnych pism puszczonego w obieg prospekt ogłasza odrodzenie się „Zwiastuna ewangelicznego“, który dawniej wychodził w Warszawie, następnie w Cieszynie, a w ostatnich czasach zawieszony był czasowo, z powodu przeniesienia się do naszego miasta jego redaktora, ks. Leopolda Otto. Przed laty już „Zwiastun“ zyskał sobie zasłużone uznanie i poważanie w kole licznych swych czytelników; dziś więc, gdy stanie w dawnym szeregu, powodzenie to z łatwością odzyszcze. Imię jego redaktora i wydawcy niemałym będzie bodźcem dla tych, co szukać w nim zechcą światła, prawdy i umiarkowania.

Oto dobry nasz znajomy: *Pamiętnik Instytutu głuchoniemych* z roku szkolnego 1875/6, siódmy już z rzędu, a równie w treść bogaty, jak i jego poprzednicy.

W dziale pedagogicznym pomieszczono tu *Metodę uczenia rachunków* i *Program nauki religii*, dla głuchoniemych i ociemniałych oddzielnie. Dalej idą życiorysy *M. Hilla* i ks. *Anzelma Zygmunta*, a wreszcie w dziale krytycznym ocena kilku dzieł i dziełek naukowych. Rocznik kończą obszernie sprawozdania o stanie obecnym Instytutu, a wszystko co się tu znajduje, stanowi materiał bardzo interesujący dla umysłów badawczych.

I oto znowu księga VIII bajek Lafontaine'a dalszy ciąg wydawnictwa, sumiennie prowadzonego przez p. J. Noskowskiego. Cóż o niej powiedzieć, aby nie powtarzać tego, co się powiedziało dawniej?.. Przekład staranny, ilustracje wspańnię, druk piękny... a zresztą kupujcie i sądźcie sami.

Oto wreszcie „Osa“ noworocznik na rok 1877, wydawnictwo przeważnie humorystyczne, z działem kalendarskim, literackim, informacyjnym i doniesieniami.

O tym noworoczniku dałoby się powiedzieć wiele, bo jest zbiorem rzeczy najrozmaitszej wartości; ale my wybieramy to tylko, co nam następcza sposobność do skargi...

O ludzie, ludzie... czegoż wy z tej biędnej nie robicie poezji?... Do czego nie nałamujecie mowy bogów, dźwięcznego i porywającego rytmu, harmonijnego rymu i formy, która tylko piękno, czyste, jasne i nieskalane, okrywać powinna?

Takie więszdyła jak „Oda do moich łez“, „Do Maryni“, „De gustibus non est disputandum“, „Metamorfozy“, „Rozczarowanie“, „Mój ideał“, „Śpiwka bachantki“, i t. p... to policzek wymierzony poezji, to wstrętne twory obumarłej fantazy, która ponad kał uliczny wzniesie się nie umie. Dawniej takie więszdyła płątały się w tajemnicy między młodzieżą zepsutą, co po kawiarniach uczyła się cynizmu—dziś... drukują się po noworocznikach.

I co między temi lichotami robią takie utwory, jak p. Kopaszyny wspomnienia z przeszłości, lub śliczny przekład p. Gawalewicza z Heinego?... Tej ostatniej perelki szkoda, iż się tam zaplątała między hulaszczki owe wybryki.

Na ślizkie bardzo drogi wkracza u nas humorystyka. Goniąc za konceptami, zapędza się do zaulków, w których noga człowieka przyzwoitego stąpać nie powinna. Smutne to bardzo, że gdy nie przybywa w piśmiennictwie naszym tworców potężnych i talentów porywających ku wyżynom, jednocześnie mnożą się skrybenci, którzy chyba za cel jedyny wzięli sobie ściągać umysły i serca w kałuże.

Tyle co do więrszy w „Osie“, której życzymy aby ostro żądłem swoim opędzała się w przyszłości od podobnych płodów zabloconej muzy. To najślubsza jej strona, która szkodzi silniejszej. Staranna wogóle redakcja noworocznika i na tym punkcie pobłażliwą być nie powinna.

Jako dopełnienie korespondencji z Rygi, zamieszczonej w ostatnim numerze naszego Tygodnika, otrzymaliśmy następującą odezwę.

Szanowny panie redaktorze!

„W numerze 43 Tygodnika zamieszczoną została korespondencja z Rygi, tak jednostronnie malująca charakter znajdującą się tu polskiej młodzieży, że uważam za powinność moją przelać ci w tym względzie pewne objaśnienia.

„Są tu wprawdzie wyjątki, aż nadto zasługujące na naganę zawartą w wymienionej korespondencji, ale liczba ich jest tak mała, tak nienieznacząca, że i wspominać o nich niewarto. Ogół naszej młodzieży jest szczerze oddany pracy i wcale nie myśli o naśladowaniu knajpowych uroczyści burszów tutejszych.

„Wszyscy uczący się tutaj Polacy starają się nie tylko o gruntowne poznanie obranego zawodu, ale i o zdobycie jaknajrozleglejszego, wszechstronnego wykształcenia, tak iż z pewnością przepowiedzieć można, iż będą z czasem użytecznymi członkami społeczeństwa. Omylkę więc twojego korespondenta prostuję z prawdziwą przyjemnością.

Z szacunkiem

Y. mieszkaniec Rygi.

Jeżeli wiadomość nie jest mylną, to w różnych okolicach kraju mają być zakładane szkoły rolnicze dla włościan. Na jakich zasadach i z jakim programem, jeszcze to dzisiaj niewiadomo, bądź co bądź jednak wiadomość jest ważna i dlatego dzielimy się nią z naszymi czytelnikami.

Gospodarstwo rolne u nas od lat kilkunastu weszło na inne zupełnie drogi, bo rozdrobnienie własności większych zmianę pod tym względem sprowadzić musiało. Drobnni posiadacze, przeważnie włościanie, prowadzą gospodarkę tradycyjną, tak zwaną trzypolówkę, przywracając ją wszędzie i tam nawet, gdzie na gruntach przez nich nabytych posiadacze więksi poprzednio zaprowadzili płodozmian. Powrót ten do starego porządku wpływa też niepospolicie na obniżenie plonów, Reakcja przeciwko takiemu trybowi rzeczy jest konieczną, a przyjsie ona może tylko ze szkoły, z rozumowego przekonania, że teraźniejszy sposób gospodarki praktycznym i korzystnym nie jest.

Lecz gdyby nawet tak ważny powód do otwierania szkół rolniczych nie istniał, to i tak jeszcze, jako przybytki postępu i światła, musiałyby one przynieść nieocenione owoce. Włościanin nasz jest wogóle zdolny, tylko nieufny względem wszystkiego co nowe. Szkoła złamie jego konserwatyzm, popchnie go do postępu, a co więcej, dając mu światło, da zarazem i poczucie obowiązków.

I dlatego to ci, co się krzątają około założenia szkół rolniczych dla włościan, dobrze czynią i powinni być pięknie swą myśl z całą energią w czyn spełniony zamienić.

Komitet muzeum przemysłu i rolnictwa w publicznej odezwie przypomina tym wszystkim, którzy złożyli deklaracje na przyjęcie udziału w przygotowującej się wystawie, że termin tej wystawy (5 listopada) jest już bardzo bliskim i że z tego powodu pośpiech w nadsyłaniu zadeklarowanych przedmiotów jest koniecznym. Już teraz przedmioty te należałoby powoli rozmieszczać w muzeum, w salach na wystawę przeznaczonych, co w ostatnich chwilach przygotowań nie mogłoby się odbywać z konieczną starannością, a wystawcy sami, spóźniający się z przesyłką, najbardziej na tym szkodać mogą.

Odezwę te komitetu muzeum powtarzamy tu dlatego, że rzecz jest ważna, że liczny współudział w wystawie jest pożądanym i że ostatecznie powodzenie wystawy tegorocznej bardzo naturalnie stanie się złą lub dobrą wróżbą dla wystaw tego rodzaju w przyszłości. Bo i poco rzeczywiście urządzać wystawy, jeżeli zbraknie na nich wystawców i przedmiotów wystawowych, a ci, którzy w ich powodzeniu mają interes bezpośredni, popierać ich nie zechcą?

Muzeum Kopernikowe w Rzymie.

Ośmioletni pobyt Kopernika w Bolonii, Rzymie i Padwie daje Italii prawo do udziału w jego sławie i zasługach, do których otworzyły mu podwoje nauki pobierane w uniwersytetach miast dopiero wymienionych.

czył w pierwszych dniach września) przybył do Bolonii i stanął w kolegium niemieckim, gdzie także mieszkali wzmiankowani kanonicy warmińscy.

Świeżo przez Karola Malayolę znalezione dokumenta w prywatnym archiwum patrycyuszowskiej rodziny w Bolonii *Malvezzi de Medici* dowodzą, że Kopernik w październiku 1496 r. zapisał się

chiwach tak rządowych jak prywatnych, dalej pomimo najdokładniejszego zbadania protokołów i spisów dyplomów doktorskich jakie się znajdują w *Acta Collegii Juris Pontificii*, w *Primus liber secretus Juris Pontificii ab anno 1377 ad an. 1528*, w *Matricula Doctorum*, i w *Matricula Nobilissimi Germanorum Collegii ab an. 1497 ad an. 1542*, pan Malayola nie mógł dotąd wykryć najmniejszego



Matka. Kopia obrazu Adolfa Jourdan, z wystawy sztuk pięknych w Paryżu.

270

Mikołaj Kopernik, idąc za przykładem Erazma Beke, Alberta Bischoffa i Fabiana Markelingerode, powszechnie zwanego od jego rodzinnego zamku *Luzyańskim*, którzy w Bolonii słuchali prawa i stopnie doktorów uzyskali, a zwłaszcza za przykładem swego wuja Łukasza Watzelrode, który od 1470 do 1473 r. uczęszczał tamże na kursa prawne—w końcu 1496 (rok szkolny w Bolonii rozpoczął się w połowie października, a koń-

na wydział prawny i że na takowy uczęszczał zdaje się do 6 września 1500 r., w którym skończył się ówczesny rok szkolny. Również z dokumentów, przez pana Malayolę odkrytych, okazuje się jasno, iż Andrzej Kopernik przybył do Bolonii dopiero we dwa lata po Mikołaju, to jest w październiku 1498 r., i że podówczas nie był jeszcze kanonikiem.

Pomimo bardzo sumiennych poszukiwań w ar-

śladu doktoryzacji Kopernika w tymże uniwersytecie. Pomimo tego nie ulega najmniejszej wątpliwości, iż Kopernik przez całe życie nosił tytuł i na urzędowych dokumentach podpisywał się *decretorum doctor* i zdaje się iż w końcu 1499 albo w początkach 1500 r. musiał otrzymać w Bolonii dyplom doktorski, a na pokrycie kosztów onego, za poradą Jerzego Wedberga, proboszcza z Osel w Liwonii, mieszkającego wtedy w kolegium nie-

Rzeźby z muzeum Kopernikowego w Rzymie.



1. Popiersie marmurowe Kopernika, przez Wiktora Brodzkiego. 2 i 3. Posagi gipsowe Kopernika, przez W. Brodzkiego i Teodora Rygiera z Warszawy
4 i 5. Medaliony bronzowe posrębrzane Kopernika i Galileusza, przez Teofila Godeckiego z Warszawy.

mieckiem i studyującego prawo w uniwersytecie, pożyzył na 4 miesiące 100 skudów (150 rs.) od banku rzymskiego, jak to wiemy z listu Bernarda Skulteta, pisanego z Rzymu d. 21 paźdz. 1499 do Łukasza Watzelrode, biskupa warmińskiego, z prośbą o rychłe zapłacenie długu siostrzeńców, przez Poznań, lub Wrocław.

W książce zatytułowanej *Tabulae Astronomicae Alfonsi Regis*, wydanej w Wenecji 1492 r., będącej niegdyś własnością Kopernika, a obecnie znajdującej się w bibliotece w Upsalu (34, VII, 65) pomiędzy wieloma własnoręcznymi notatkami toruńskiego astronoma, spotykamy dwie obserwacje astronomiczne, dnia 9 stycznia i 4 marca 1500 r. dokonane w Bolonii, i z takowych wnosimy, iż dopiero po 6 września t. r., to jest po skończeniu się roku szkolnego, opuścił to miasto. Po wyjeździe z Bolonii, prawdopodobnie dla uzyskania odpustu zupełnego, udał się do Rzymu, gdzie wtedy Aleksander VI obchodził jubileusz powszechny. Po przybyciu do wiecznego grodu d. 6 listopada 1500 r., Kopernik obserwował zaćmienie księżyca i prawdopodobnie z tego powodu miał kilka odczytów publicznych, które ściągnęły wielką liczbę słuchaczy, a nawet uczeni mężowie na takowe uczęszczali. Joachim Jerzy Retyk, uczeń Kopernika, nie omieszkał w swém: *Opowiadaniu o dziele mistrza: O obrotach ciał niebieskich wspomnieć o tém nawiasowo temi słowy: „Pan mój nauczyciel bawił w Bolonii nie jako uczeń, ale jako pomocnik w obserwacjach uczonego wielce męża Dominika Mariji, a w Rzymie około 1500 r., licząc mniej więcej lat 27, jako profesor matematyki, na którego wykłady uczęszczała wielka liczba uczeni, a nawet wielu mężów biegłych w tej nauce.“* Książd Józef Caraffa, profesor historii kościelnej w uniwersytecie rzymskim, pisząc jego dzieje, w lot pochwycił świadectwo Retyka i w swém dziele *De Professoribus Gymnasii Romani*, 1751 roku wydaném w wiecznym grodzie, na str. 381 zamieścił Kopernika jako profesora astronomii w tej wszechnicy. Poszukiwania dotychczasowe w archiwum uniwersytetu i w innych nie wykazały najmniejszego śladu profesorstwa Kopernika w Rzymie i zdaje się, że nigdy na to dowodów nie znajdziemy. Kopernik, będąc kanonikiem warmińskim, bez pozwolenia biskupa i kapituły nie mógł stałego zajęcia przyjmować po za dyecezyą, i gdyby rzeczywiście był mianowany profesorem, musiałby albo rezygnować z kanonikatu, albo też otrzymać przez breve lub bullę papieżką dyspensę od obowiązku rezydencji, a w takim razie tak w aktach frauenburskich, jak i rzymskich mielibyśmy tego jasne dowody. podobnie jak mamy dowód w bulli jego brata, 1512 r. wydanej. Pytam się wręcz, czy można przypuścić, aby uniwersytet w stolicy chrześcijańskiego świata powołał młodego, nieznanego i niczém wtedy niezasłużonego człowieka na katedrę astronomii i matematyki, którą niegdyś zajmował Regiomontanus? bo nie należy zapominać, iż Kopernik 1500 r. nie był jeszcze tym, którego dziś świat cały podziwiał i że dopiero w 43 lat później wydał swe nieśmiertelne dzieło „*O obrotach ciał niebieskich.*“

W początkach 1501 roku Mikołaj Kopernik, wraz ze swym starszym bratem Andrzejem, powrócił do Frauenburga, lecz zaledwo kilka miesięcy zabawił w ojczystej ziemi, gdy dnia 27 lipca tegoż roku, jak o tém świadczy odnośny protokół kapituły, uzyskał pozwolenie powrócenia do Italii, pod warunkiem iż tam studyować będzie medycynę, a następnie leczyć biskupa i kanoników frauenburskich. Również i brat jego Andrzej, który dopiero co został kanonikiem, otrzymał pozwolenie udania się do Italii i rozpoczęcia tam swych nauk. W sierpniu 1501 roku obaj bracia puścili się w drogę, lecz gdy Mikołaj zatrzymał się w Padwie i zapisał się na wydział medyczny, Andrzej udał się wprost do Rzymu, dla studyowania prawa i teologii. Bawiąc w Rzymie, Andrzej Kopernik wraz z Bernardem Skultetem dziekanem kapituły i Mikołajem (zapewne Janem) Skultetem (?) dnia 16 sierpnia 1502 r. przez biskupa i kapitułę został obrany reprezentantem i prokuratorem dyecezyi, do prowadzenia jakiegos procesu w kongregacyach rzymskich.

Mikołaj Komnen Papadopoli, autor dzieła; *Historia Gymnasii Patavini* (Wenecja 1728, 2 tomy in fol.) podając fałszywą datę pobytu Kopernika w Padwie od 1495 do 1499 r., utrzymuje iż przez cztery lata uczęszczał na kursa, mieszkał w kolegium polskim i otrzymał stopień doktora, jak Marcin Radziwiński, prof. uniwersytetu krakowskiego i autor życiorysu Kopernika napisanego 1658 roku, powiada, w kościele katedralnym i w obecności samego biskupa. Chociaż dotychczas, pomimo kilkakrotnych najpilniejszych poszukiwań w archiwach padewskich, nie znaleziono żadnego dokumentu, tycającego się pobytu Kopernika w tém mieście od 1501 do 1505 roku i jego doktorskiego tytułu, wątpliwości żadnej jednak nie ulega, iż był on *doctor artium*, używał jako lekarz wielkiego w całym kraju wzięcia i nie gdzieindziej mógł studyować medycynę, jak w Padwie.

Do tych węzłów, łączących Kopernika z Italią, dodawszy jego korespondencją z biskupem Pawłem Middelbergiem, prezesem kalendarzowej komisji na soborze laterańskim, który od 1512 do 1517 odbywał swe posiedzenia w Rzymie i wymienionego powyżej Bernarda Skulteta miał za swego sekretarza, a także jego korespondencją o wydanie dzieła *O obrotach ciał niebieskich*, z kardynałem Mikołajem Szobergiem arcybiskupem Kapui, który będąc jeszcze zakonikiem św. Dominika, przez Leona X został 1518 roku wysłany do Zygmunta I i do Bazylego Iwanowicza w ks. moskiewskiego, aby pogodził króla polskiego z zakonem krzyżaków, a następnie aby między Polską a Moskwą przeprowadził przymierze przeciwko Turkom—będziemy mieli całkowity obraz stosunków Kopernika z Italią, które tak ważną w jego życiu odegrały rolę i niezaprzeczenie wielki, jeżeli nie stanowczy, wpływ wywarły na jego badania i spostrzeżenia astronomiczne, a wkońcu i na samo dzieło dopiero co wymienione.

Należy tu wspomnieć o jednej ważnej okoliczności, ścisły związek mającej z Kopernikiem. Papiież Klemens VII (Julian Medici), wielki zwolennik i opiekun sztuk i nauk, wybierając się w podróż do Marsylii, gdzie osobiście miał dawać ślub swęj siostrzenicy Katarzynie Medici z Henrykiem, młodszym synem Franciszka I, później Henrykiem II królem francuzkim, pewnego pogodnego letniego wieczora, przywoławszy do siebie Jana Alberta Widmanstadta, swego prywatnego sekretarza i szambelana, polecił mu wobec wielu dworzan, zgromadzonych około jego świętobliwości, w ogrodzie watykańskim wyłożyć zasady systemu kopernikowego o ruchu ziemi, czego ten z zadowoleniem wszystkich jaknajlepiej dokonał i w nagrodę otrzymał bogato oprawne dzieło Aleksandra Afrozydeusza *De sensu et sensibili*, które obecnie znajduje się w bibliotece monachijskiej i na pierwszej kartce zawiera opis powyższego faktu. Dedykacja dzieła *O obrotach ciał niebieskich* głośnemu z nauki Aleksandrowi Farnese, który 13 października 1534 r. został obrany papieżem pod imieniem Pawła III, prawdopodobnie nieinaczej nastąpiła, jak po uprzedniej z obu stron wymianie listów, które znajdują się może w archiwach watykańskich.

Umyslnie nieco dłużej zastanowiłem się nad pobytom Kopernika w Italii i jego stosunkami ze stolicą świętą, aby tym sposobem sprostować błędy dotychczasowych jego biografów, najsprzecznniejsze i niezgodne z prawdą podających szczegóły, a następnie aby czytelnikom wskazać, ile archiwa italskie, z taką troskliwością utrzymywane, mogą dostarczyć materiałów do życiorysu toruńskiego astronoma, jeżeli zostaną pilnie zbądane. Wprawdzie jest-to praca olbrzymia i wymaga systematycznych poszukiwań ludzi poświęconych nauce; wprawdzie zbiory watykańskie długo jeszcze dla badaczy pozostaną zaklętym skarbem, o którym wolno tylko marzyć, ale trafić do nich i uzyskać przystęp niepodobna zwykłym śmiertelnikom; pomimo tego jednakże należy się spodziewać, iż przykład Karola Malagoli z Bolonii, członka deputacji historycznej w prowincjach romańskich, który przed kilkoma miesiącami odkrył ciekawe dokumenta o pobycie Kopernika na

uniwersytecie bolońskim, znajdzie gorliwych nasładowców.

Przechodzę teraz do opisu muzeum Kopernikowego w Rzymie i do jego historii. W czerwcu 1872 prof. Filip Serafini, pełniący obowiązki rektora i prof. Dominik Berth, ex-minister oświecenia publicznego i członek parlamentu italskiego, uradzili i postanowili, iż dla rehabilitacji uniwersytetu rzymskiego, który ulegając wpływowi rządów papieżkich, dopiero z początkiem bieżącego stulecia zaczął wykładać system Kopernika, należy wystąpić uroczyście i uczcić 400-ną rocznicę jego urodzin. Dla bliższego porozumienia się w tym względzie i powzięcia wspólnej decyzji, odniesiono się do rektora uniw. krakowskiego, do magistratu toruńskiego i *Copernicus Verein* w Toruniu. Ponieważ uniwersytet krakowski nie odpowiedział, porozumiano się tylko z Niemcami i na ich uroczystość w Toruniu wysłano delegatów uniwersytetów italskich. To nam tłumaczy, dlaczego na obchodzie jubileuszowym Polaków w Toruniu nie było reprezentantów italskich i dlaczego profesor Occioni nazwał go *zbiegowiskiem okolicznych wieśniaków, z proboszczami na czele.* Za inicjatywą uniwersytetu rzymskiego poszły wszechnice bolońska i padewska i dzień 19 lutego 1873 uroczystość obchodzony był w trzech tych miastach.

Dla podniesienia świetności rzymskiego obchodu, p. Wiktor Brodzki z Kamieńca podolskiego, od lat 20 zamieszkały w wiecznym mieście, ofiarował gipsowy biust Kopernika, który przybrany w wieńce, powszechnie wszystkim się podobał. Ówczesny minister oświecenia, komandor Scialoja, chcąc uwiecznić pamiątkę dnia tego, zamówił u naszego rodaka marmurowe popiersie i takowe darował uniwersytetowi.

Gdzie umieścić biust Kopernika? powstało pytanie w radzie uniwersyteckiej. Wtedy to komandor Berth podał projekt założenia muzeum Kopernikowego, który jednogłośnie został z entuzjazmem przyjęty. Jeżeli Florencia posiada wspaniałe muzeum Galileusza, dla czegożby Rzym nie miał mieć podobnego zbioru na cześć Kopernika, mniemanego profesora swego uniwersytetu? Postanowiono więc ze szczerych funduszy uniwersyteckich wyporządzić odpowiednią salę w gmachu akademickim, tam umieścić popiersie Kopernika i zwolna zbierać wszelkie po nim pamiątki i odnoszące się doń przedmioty. Ponieważ na pomoc rządu, który dla utrzymania istniejących już muzeów i galerij musiał wprowadzić opłatę od wejścia, nie mógł i długo jeszcze nie będzie mógł rachować uniwersytet rzymski, przeto jego profesorowie pośpieszyli ze złożeniem piérwszych darów i zajęli się gorliwie całym apenińskim półwyspkiem zbieraniem przedmiotów odpowiadających celowi muzeum. W założeniu muzeum wiele rachowano na naszą pomoc, bo spodziewano się że ojczyzna Kopernika posiada najwięcej po nim pamiątek, że hojną ręką obdarzy niemi przybytek na cześć jego wzniesiony i że ze szlachetną dumą starać się będzie, aby dział polski był jądrem, podstawą i główną kolumną, około której reszta zbiorów musiałaby się grupować i uporządkowywać. Niedaleka przyszłość pokaże, czy owe nadzieje uniwersytetu rzymskiego były wynikiem znajomości rzeczywistych stosunków, lub nie, czy kraj nasz wistocie dba o sławę swego ziomka i gotów jest ponieść dla niej małą ze swęj strony ofiarę.

Celem muzeum Kopernikowego w Rzymie jest zebrać: 1) wszelkie dokumenta italskie, dotyczące jego osoby; 2) jego rękopisy, o ile się to da uskutecznić; 3) wszystkie edycje dzieł jego; 4) narzędzia astronomiczne z XV i XVI stulecia; 5) wszelkie dzieła mające związek z osobą lub systemem toruńskiego astronoma; 6) medale, sztęchy i wszelkie inne zabytki sztuki. Dotąd dary profesorów uniwersytetu rzymskiego i bibliotek rządowych półwyspu apenińskiego utworzyły już piękny księgozbiór, w którym odznaczać się będą dwa egzemplarze dzieła *O obrotach ciał niebieskich*, wydania bazylejskiego, komentowane i poprawiane ręką Galileusza, i obfity zbiór starożytnych przyrządów astronomicznych. Gdyby nie

nieustanne zmiany ministrów oświecenia publicznego (Scialoja, Bonghi i Coppino), zbiory muzeum Kopernika byłyby dotychczas znacznie dalej posunięte i na publiczny użytek oddane. Obecnie inauguracja muzeum, która niewątpliwie przysporzy darów zakładowi, naznaczona jest na koniec roku bieżącego, o czym w swoim czasie publiczność nasza zostanie powiadomiona.

Ciągle odkładanie i opóźnianie inauguracji z tej poniekąd pochodziło przyczyny, iż dotąd muzeum Kopernika nie mogło otrzymać chociażby jednego własnoręcznego listu tego męża i że dział polski nie był w komplecie. Rzeczywiście gdyby była inauguracja muzeum odbyła się w kwietniu r. b., jak to postanowili prof. Blazerna rektor uniwersytetu i prof. Berti założyciel muzeum, zupełnie byłibyśmy skompromitowani, bo oprócz 8 czy 10 książek i broszur, bogato oprawnych, portretu ojca Kopernika, oraz medalu i albumu w 1873 r. wydanych przez Towarzystwo przyjaciół nauk w Poznaniu, które przed dwoma laty przysłał zany nestor naszej literatury Józef Ignacy Kraszewski, nie więcej z rzeczy polskich nie znajdowało się w zbiorze. Wina to lekkomyślności, że nie powiem nieuczciwości rzymskich korespondentów do pism naszych, którzy wezwani do pomocy, zamiast sumiennie powiadomić czytelników co się już w muzeum znajduje, a czego jeszcze potrzeba, różne niestworzone brednie prawili o nowo tworzącym się zakładzie i jego mniemanych założycielach. Ogólnikowe przechwanki sprawiły, iż oprócz przesyłki Kraszewskiego, stanowiącej dziesiątą część tego, co mógłby kraj nasz dostarczyć, nie więcej do roku bieżącego muzeum nie otrzymało.

Wezwany przez prof. Berti'ego do zajęcia się działem polskim, przystąpiłem do dzieła; za pośrednictwem moich przyjaciół, gorliwych o chwale Kopernika, zebrałem już trochę przedmiotów i mam nadzieję że za dwa miesiące muzeum Kopernikowe w Rzymie będzie w posiadaniu tego wszystkiego, co Liedykolwiek kraj nasz zrobił i wydał na cześć swego astronoma. Na szczególniejsze uznanie i wdzięczność zasługują nasi artyści, którzy z chwalebna i zana bezinteresownością pośpieszyli z ofiarowaniem prac swoich, mających służyć ku ozdobie muzeum. Pan Wiktor Brodzki ofiarował gipsową statwę Kopernika; p. Teofil Godecki z Warszawy wykonał dwa medalliony Kopernika i Galileusza, które teraz odlęwiają się w bronzie, a na pokrycie kosztów zbiera się składka; p. Henryk Siemiradzki po mistrzowsku wymalował portret Kopernika, według sztychu Falcka, który jedynie zgodny jest z rzeczywistością. Oprócz tego w muzeum będzie pomieszczony marmurowy biust Kopernika, wykonany na zamówienie ministerstwa przez p. Brodzkiego, i gipsowa statua Kopernika, roboty p. Teodora Rygiera, która 1874 r. otrzymała premium na konkursie warszawskim.

W pięknych ramach orzechowych, na które zbiera się składka, zostaną rozmieszczone po ścianach muzeum następujące sztychy, drzeworyty i druki: 1) sztych Oleszczyńskiego; 2) objaśnienie tego sztychu; 3) rysunek Andriollego: *Astronomowie*, drzeworyt *Kłósów*; 4) Kopernik odkrywający swój system, obraz Matejki, drzeworyt *Kłósów*; 5) portret Kopernika przez Matejkę, drzeworyt *Tygodnika Ilustrowanego*; 6) fotodruk sztychu Falcka, do czasu póki nie znajdzie się oryginał takowego; 7) obraz Gersona *Kopernik w Rzymie*, drzeworyt *Tygod. Ilustr.*; 8) *fac-simile* przedmowy Kopernika do dzieła *O obrotach ciał niebieskich*, opuszczonej przez Niemców norymberskich przy ogłoszeniu takowego; 9) obszernie wyłożenie tej sprawy i tekst oryginalnej przedmowy, oraz przedmowy podrobionej przez Ossian-dra; 10) sztych Boissarda z 1597 r., nieco uszkodzony w dwóch miejscach; 11) fotodruk wszystkich medali Kopernika z albumu poznańskiego; 12) mapa Polski z czasów Kopernika; 13) astro-labia Ptolemeusza, Kopernika i Tycho-Brahe w sztychu; 14) gablotka z medalami Kopernika; 15) gablotka ze statuetkami Kopernika, wyrobu Mintra; 16) gablotka z medalami toruńskimi; 17) gablotka z medalami gdańskimi, bitemi na

pamiętkę uwolnienia się z pod panowania krzyżaków w 1654 i 1754; 18) gablotka z medalami Zygmunta i Bony; 19) gablotka z monetami Zygmunta I, a zwłaszcza z lat 1520—1530, w których Kopernik agitował za wprowadzeniem monety polskiej do ziem pruskich i 20) portret ojca Kopernika, o którym wyżej wspominałem. Wszystkie te rzeczy nadesłane zostały przez różne osoby, a rami i gablotki sprawione za pieniądze tych, którzy na rzecz muzeum nie mogli ofiarować żadnej pamiętki. O szlachetnych ofiarodawcach dowiód się kraj, gdy będzie ogłoszony katalog darów polskich w muzeum Kopernika, jaki poskończeniu mej czynności drukiem ogłoszę.

Dział bibliograficzny obejmować będzie przeszło 80 dzieł, broszur i artykułów o Koperniku. Z artykułów dziennikarskich układa się teraz tom *Miscelaneów*.

W dziale tym zasługuje na uwagę: piękne *Album* ilustracji warszawskich, *Zbiór polkowski* sztychów, fotodruków, litografii i drzeworytów, już-to portretów, już pomników, już wreszcie obrazów dotyczących toruńskiego astronoma i *Kolekcya polkowska* listów Kopernika, fac-similowanych przez ks. kanonika Ignacego Polkowskiego. Wszystkie te dzieła będą oprawne w safian, płótno lub pergamin, stosownie do materii i kategorii.

Na uroczystość inauguracji muzeum zaproszeni będą: dwór królewski, ministrowie, senat, parlament, ambasadorzy i wszystkie głównejsze uniwersytety, akademie i ciała uczone, tak krajowe, jak zagraniczne.

Dla podniesienia świetności inauguracji i uwiecznienia jej pamięci, rozdane będą zgromadzonemu następujące rzeczy. 1) włoska broszura o Koperniku i Galileuszu; 2) ilustrowana kantata Deotymy wiérsem, przetłumaczona przez Hektora Marcucci'ego; 3) drzeworyty z obrazów Matejki, Gersona i Andriollego etc.; 4) fotodruk albo drzeworyt z pięciu rzeźb polskich artystów, jakie znajdują się w muzeum; 5) drzeworyt ze sztychem Falcka, z krótkim życiorysem Kopernika (2000 egzemplarzy przygotowałem); 6) rozprawa o muzeum wraz z katalogiem darów polskich i wyłączeniem ich ofiarodawców; 7) zbiór listów i dokumentów dotyczących Kopernika, jeżeli na to znajdzie się fundusz. Publikacja ta jest bardzo potrzebna w Italii, aby sprostować różne błędne pojęcia i sądy o naszym astronomie.

Dotąd napróżno poszukiwałem nakładcy na wykonanie rzeźb Rygiera i Brodzkiego. Jeżeliby teraz znalazł się takowy, raczy porozumieć się ze mną, pisząc wprost do Florencji, Via della Scala nr. 43. Na wykonanie każdej z tych figur potrzeba tylko 1500 lirów.

Również pod adresem moim mogą być nadesłane następujące rzeczy, których nie posiada jeszcze muzeum: sztych Falcka, sztychy XVI i XVII stulecia z portretem Kopernika, medale toruńskie z lat 1657 (z portretem Jana Kaźmierzka) i 1731, medale gdańskie z 1654 i 1754, wreszcie medale i monety Zygmunta I, zwłaszcza z lat 1520—1530 i medale Bony.

Dr. Artur Wołyński.

Przegląd polityki zagranicznej.

27 października.

Do tej chwili nie otrzymaliśmy wiadomości pewnej o powodzeniu lub niepowodzeniu misji generała Ignatiewa w Konstantynopolu. Wiadomo tylko że generał powiódł do Stambułu pewien rodzaj ultimatum, nazwanego w języku dyplomatycznym „sommation”, i że od przyjęcia lub odrzucenia warunków rossyjskich zależy pokój lub wojna. Rossya domaga się rozejmu na sześć tygodni i rękami reform dla Bośni, Hercegowiny i Bułgarii. Tak przynajmniej utrzymują dzienniki zagraniczne, urzędowe bowiem ogłoszenie treści owej somacyi dotąd nie nastąpiło. Telegram z d. 25 b. m. zapewnia, że Porta zgadza się na rozejm sześciotygodniowy, pod warunkiem iż w razie nieukończenia układów, rozejm ten przedłużonym

będzie jeszcze na sześć tygodni, a gdyby zaszła potrzeba potem, to i na dwa miesiące dalsze. W tymże telegramie powiedziano, że generał Ignatiew sądzi, iż Rossya nie zgodzi się na takie warunki.

Przewidując zbrojną interwencją, dzienniki zagraniczne zawczasu już kłopotają się i badają, kto i w jaki sposób dokona zamierzonej okupacji krajów słowiańsko-tureckich. W przypuszczeniu że Rossya wraz z Austryą wkroczy do Turcyi, prasa jednocześnie utrzymywała, że warunki okupacji ułożone zostaną przez rząd niemiecki. Otóż Nat. Ztg. w d. 25 b. m. stanowczo przeczy temu i oświadcza, że rząd niemiecki nie da się wyprzeć ze stanowiska neutralnego. Zaznaczyć wreszcie trzeba pogłoskę z Berlina, jakoby Rossya zamierzała zwołać kongres europejski, celem rozwiązania sprawy wschodniej.

Postawa niektórych mocarstw budzi także szczególną uwagę prasy. Idzie tu głównie o to, jak sobie postąpi Anglia, czy zachowa się biernie, czy też istotnie bronić będzie całości państwa tureckiego. W tym ostatnim razie wynikłaby wojna europejska, lecz dotąd nie wistocie takiego nie zaszło, coby przewidywanie to usprawiedliwiało. Zato nie ulega wątpliwości, że Grecya wychodzić zaczyna z biernej swój dotąd roli. W ostatnich czasach opinia publiczna w Atenach oświadczyła się za czynniejszą polityką, Grecy bowiem nie mogą pozwolić na to, aby prawa ich uleżały przedawnieniu. Już poprzednio rząd grecki protestował przeciwko temu, że Turcy zakładają czerkieskie kolonie w Tessalii i Epirze; obecnie zaś gabinet ateński przesłał mocarstwom memoriał, w którym uczynił Europę odpowiedzialną za wszelkie następstwa, jakiego by wynikać z tego mogły, gdyby prawa Greków uwzględnione nie zostały. Zapewniają także iż Rumunia stanowczo wystąpi przeciw Turcyi i połączy się z Rossyą. Wszystko to oczywiście nastąpić może jedynie w razie wojny, a ta, jak dotąd, zależy od uległości lub oporu rządu tureckiego. Krążące w ostatnich dniach pogłoski o postanowieniu hr. Andrassego podania się do dymisji z urzędu kanclerskiego, nie zasługują dotychczas na wiarę.

Od d. 18 b. m. toczy się krwawy bój nad Morawą. Piérwszego dnia szczęście sprzyjało orężowi tureckiemu; w dniach 20 i 21 powiodło się Serbom odebrać utracone pozycje, lecz zaraz nazajutrz znowu w tureckie dostały się ręce. W ostatniej chwili (26 b. m.) Turcy zajęli podobno wszystkie stanowiska w pobliżu Deligradu i zamierzają ostrzeliwać Aleksinacz. O ile szczegóły te zasługują na wiarę, powiedzić w tej chwili nie można; jedno tylko jest pewnym, że ogólny wypadek ostatnich kilku bitew nie był dla Serbów pomyślnym. Od strony Czarnogóra mniej szczęśliwie powodzi się Turkom; twierdza Medun wraz z załogą (500 ludzi) i zapasami poddała się Czarnogórcom. Od d. 20 b. m. przy Kłobucku ciągną toczy się walka armatnia, a most pod Gramerowem, jedyna komunikacja Muchtarabasz z Trebinją, zniszczonym został.

OSTATNIE TELEGRAMY. Nisz, 24 października. Dziś, po 10-godzinnej bitwie, Dżunis zdobyty. Wojska tureckie zajęły wszystkie szanse w okolicy Dżunisa.

Zemlin, 25 października. Armia Timoku, pod dowództwem Medwedowskiego, zdobyła szanse tureckie pod Zajczarem, w d. 23 b. m. Petrowacz, miasto tureckie w Bośni, zdobyte zostało przez Despotowicza.

Madryt, 24 października. Gazeta urzędowa oznajmia, że odkryto spisek socjalistowski. Na czele sprysiężenia stali byli ministrowie Ruiz Zorilla i Salmeran, przebywający za granicą. Generałowie: Merelo, Areyro, Patino i Acosta zostali uwięzieni. Wielu spiskowców uciekło za granicę.

Wiedeń, 24 października. Pogłoski o przesileniu ministeryalnym w Węgrzech są bezzasadne. (Ind. Bel. Sch. Ztg. Jour. des Deb. Nord. Times)



Z widowni wojny. Ranny oficer serbski, w chacie bułgarskiej pod Zajezarem.

272

Kalendarze Józefa Ungra na rok 1877.

KALENDARZ

WARSZAWSKI ILLUSTROWANY POPULARNO-NAUKOWY

na rok zwyczajny 1877.

Wydany obecnie kalendarz na rok 1877 liczy 32-gi rok swego istnienia, i oprócz niezbędnych wiadomości informacyjnych, mieści w sobie artykuły najcenniejszych w literaturze naszej pisarzy.

Oprócz tego pośród działu informacyjnego mieści się tak zwany „Przewodnik warszawski,” który, ze względu na rozmaite wiadomości i informacje jakie w sobie obejmuje, z nową reformą sądową, zarówno dla osób z prowincji do Warszawy czasowo przybyłych, jak i dla stale zamieszkałych, jest nader pożytecznym.

Cena egzemplarza kop. 50.

DZIENNIK

NA ROK 1877.

Cena egzemplarza kop. 30.

KALENDARZ ŚCIENNY

NA ROK 1877.

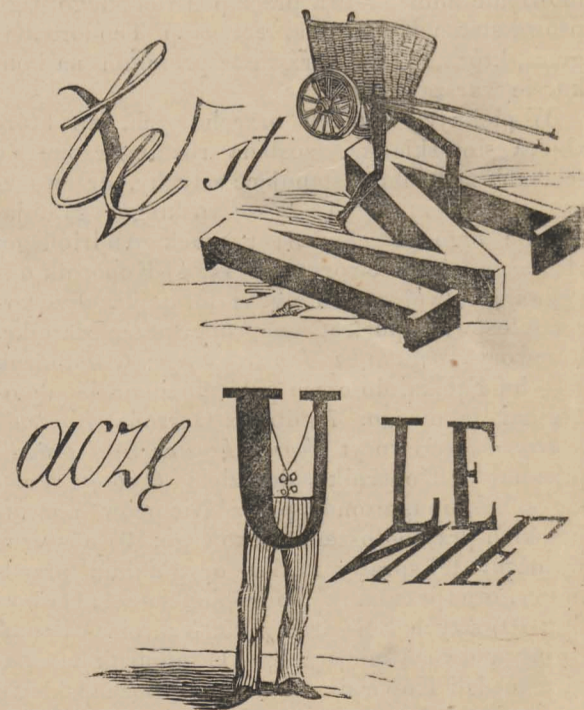
Cena egzemplarza kop. 15.

Uwaga: Osoby zamieszkałe na prowincji, jeżeli pod adresem wydawcy nadeszłą **rs. jednego** na powyższe **trzy** kalendarze, takowe wysłane im zostaną **franco**, jeżeli zaś nadeszłą należytość na którykolwiek egzemplarz pojedynczy, w takim razie uprasza się o dołączenie po kop. 10 do każdego egzemplarza oddzielnie, na kosztą przesyłki.

Adres: Józef Unger, Warszawa, Nowolipki Nr. 2406.

REBUS.

273



Znaczenie rebusa umieszczonego w nr. 43.
U kobiety słowo dziś na ustach, a jutro pod nogami.

LISTY ZE STOLICY WĘGIER,

profesora A. Pawińskiego.

I.

Buda-Peszt, we wrześniu 1876.

Spełniły się gorące oddawna życzenia Węgrów. Pragnęli oni, po swém odrodzeniu politycznym, przedstawić się Europie, by przekonać, że są godni pierwszorzędnie niejako być mocarstwem; pragnęli nadto pokazać stolicę tego nowo-wskrzeszonego państwa, by również przekonać cudzoziemców europejskich, że gród ich nad Dunajem jest godną tego państwa stolicą i w niczem innym wielkim miastem nie ustępuje; pragnęli wreszcie dowieść wobec licznie zgromadzonego świata naukowego, że i [uprawy umysłowej nie zaniedbali.

Zresztą zkadłinał myśl, rzucana na przedostatnim kongresie archeologicznym w Sztokholmie w r. 1874, myśl zebrania się w Węgrzech w Buda-Peszcie, wdzięcznie przez całe zgromadzenie przyjętą była. Podobnie i na przedostatnim kongresie statystycznym, który się odbył w Petersburgu, przyjęto chętnie wnioski Węgrów, proszących o odbycie narad następnego kongresu statystyków w Peszcie. Życzenia obu stron wzajemnie się spotykały. Zbieg przyjazny okoliczności zrzucił nadto, że jednocześnie niemal przypadał czas zebrania się obu kongresów w stolicy Węgier. Miasto więc podwójną u siebie święciło uroczystość.

Kongresy antypo-archeologiczne, jak wiadomo, co dwa lata odbywają swe posiedzenia, za każdym razem w innym kraju. Podobna zmiana miejsca nie jest czechem wymaganiem, nie jest prostym zaspokojeniem ciekawości, lub zwykłym urozmaiceciem. Ma ona swą zasadę. Na posiedzenia kongresu międzynarodowego każdy kraj przygotowuje wystawę archeologiczną, gromadzi w jedno miejsce rozrzucone zbiory prywatne, zbiera wszystko, cokolwiek z dziedziny archeologii przedhistorycznej na jaw wydobyto. Tak łatwo dostępnym w tym sposobie materiał staje się nieocenionym dla badań porównawczych, dla których tak szerokie otwierają pole przedewszystkiem owe dalekie, zamierzone wieki, z ich prastarą a zagadkową cywilizacją. Siedem podobnych odbyło się już kongresów, siedem wystaw archeologicznych, które wiele nauczyły. Ósmy kongres archeologów zgromadził się w Buda-Peszcie tém chętniej, ile że Węgry nęciły ku sobie powabem niemalym, oddawna już będąc znane z bogatych wykopalisk, z przeróżnych zabytków epoki rzymskiej, lub czasów późniejszych, kiedy równina nad Cisą i Dunajem była widownią historyczną w ciągu kilku wieków, kiedy się na niej przesuwaly rojne tłumy przechodnich, wędrownych ludów. Spodziewać się należało, że tego roczny kongres, powabem miejsca ku sobie nęcący, ściągnie większe niż poprzednio tłumy uczonych antropologów i archeologów. Wyznać też trzeba, że Węgrzy w miarę sił uczynili wszystko, co ułatwić i zapewnić mogło pożytek naukowy. Tymczasem brak było wielu członków, którzy niegdyś swemi imionami rozgłoszonymi zgromadzeniom tym blasku dodawali. Niepewność położenia politycznego, wojna w sąsiedniej Serbii, obawa dalszych powikłań wpłynęły zapewne niechęcąc na wielu, którzy dawniej zwykli byli z najodleglejszych krańców Europy, nawet Ameryki, przybywać. Co więcej, podobno także i niechęci czysto politycznej natury wpływ swój wywarły na zmniejszenie zastępu uczonych przedstawicieli przeróżnych narodowości. Niemcy z Austrii i z właściwych Niemiec przybyli w bardzo szczupłej liczbie. Z więcej znanych był tylko prof. *Virchow*, oraz panna *Mestorf*, konserwatorka muzeum w Kielu. Kraje skandynawskie miały bardzo licznych przedstawicieli. Byli ze Szwecji p.p. *Montelius* i *Hildebrandt*, znani ze swych prac i poszukiwań w zakresie archeologii skandynawskiej. Był z Kopenhagi *Worsaae*, zasłużony na polu archeologii badacz duński. Górowali liczbą

nad wszystkimi Francuzi. Był z Paryża najznakomitszy z pomiędzy nich prof. *Broca*, znany operator oraz antropolog, i prof. *Ujfalvy* filolog. Przyjechali nadto z Lugdunu p. *Chantre*, wicedyrektor muzeum, oraz inni archeologowie z Lille, z Nancy, z Montpellier. Jednym słowem Francuzi dość tłumnie przybyli, a zwłaszcza jeśli pod względem języka jeszcze do nich dołączymy Belgijczyków, — między nimi p. *Dupont* z Brukselli, — łatwo pojąć, dlaczego w różnojęzycznym gwarze, który w prywatnych słyszeć się dawał zgromadzeniach, zawsze mowa francuzka przeważała.

Nie zapomnijmy o Włochach i Anglikach. Literatura włoska miała swych przedstawicieli w osobach pp. *Capellini*, który przed laty dziesięciu pierwszy podniósł myśl urzędzenia kongresów archeologii przedhistorycznej, — oraz pp. *Pigorini* i *Zannoni* i innych. Byli także Anglicy z Londynu: pp. *Evans* i *Franks*, był p. *Thompson* z Bostonu.

Bliskość miejsca i względnie większa niż dla innych ważność wystawy przedhistorycznej w Peszcie sprawiły, że licznie zjechali się na kongres peszteński miłośnicy archeologii przedhistorycznej polskiej. Przybyli bowiem z Krakowa profesorowie *Łepkowski* oraz *J. Kopernicki*, *J. N. Sadowski*, członek komisji archeologicznej, dr. *Baraniecki* dyrektor muzeum przemysłowego w Krakowie, oraz dr. *Dobrowolski*. Ze Lwowa był p. *Sznajder*, wydawca *Encyklopedyi* do krajoznawstwa Galicyi. Z Poznania przyjechał p. *Feldmannowski*, sekretarz Towarzystwa przyjaciół nauk poznańskiego. Z grona archeologów warszawskich byli obecni pp. *Zawisza*, *Bajer* i artysta-malarz *A. Lesser*. Przybyli nadto, jako delegowani cesarskiego warszawskiego uniwersytetu, pp. *Mierzyński* i *Pawiński*. Widocznie całemu zgromadzeniu nieobcym był ten tłumny udział ze strony archeologii słowiańskiej; to też gdy nastąpiły wybory na honorowe godności, nie pominięto tych, których dawniej zawsze pomijano, ten zaś dowód uwagi istotnie bardzo był obowiązujący. Do grona wiceprezydentów kongresu wybrano prof. *Łepkowskiego*, na członka rady (membre du conseil) p. *J. Zawiszę* z Warszawy.

Kongres otwarty został uroczystie d. 4 września, w sali posiedzeń izby panów, która mieści się w gmachu tak zwanego muzeum narodowego. W imieniu rządu i całego kraju witał licznie zebranych gości w krótkiej przemowie p. *Trefort*, minister oświaty. Poczem głos zabrał prezes kongresu, p. *F. Pulski* (po węg. *Pulszasy*) i zagaikł posiedzenia naukowe krótkim rysem tego, co Węgry przedstawić mogą dla badań naukowych przybyłych gości. Zwracał uwagę przede wszystkim na różnice, jakie pod względem archeologicznym przedstawiają Węgry, że kiedy np. dawna Panonia (część połud. zach. Węgier nad Drawą) obfituje w przedmioty z kamienia szlifowanego, brak jęj niemal zupełnie bronzu; tymczasem ma się rzecz odwrotnie z krainami podkarpackimi, gdzie w wielkiej ilości znajdowano narzędzia, broń, ozdoby bronzowe, a nad Cisą żadnych nie napotymano śladów kamienia lub krzemienia. Ten rys ogólniejszy uzupełnił w następnej zaraz przemowie sekretarz kongresu, prof. *Romer*, dając szczegółowy obraz badań i poszukiwań, poczynionych w obrębie Węgier w zakresie archeologii przedhistorycznej, od czasów najdawniejszych, aż do obecnej chwili. Było to studium głębokie, nauczające. Mówca rzecz swoją wyłożył jasno. Członkowie kongresu zostali niejako wtajemniczeni w nieznanym niemal dotychczas świat uczonych poszukiwań Węgrów. Prof. *Romer*, sam specjalista na tém polu, umiał słuchaczom przedstawić ostateczne wyniki i współczesny stan archeologii miejscowej. Podobna mowa była doskonałym wstępem do dalszych prac, lub raczej wstępem do poznania i zgłębienia tuż obok urzędzonej, wspaniałej wystawy archeologicznej.

Po dokonaniu wyborów na godności honorowe i po uchwaleniu, iż tylko język francuzki używanym będzie jako język urzędowy kongresu, przystąpiono do prac specjalnych, na posiedze-

niach rannych i poobiednich. Nie zamierzamy ani zdawać sprawy z każdego z kolei posiedzenia, ani wtajemniczać czytelnika w szczegóły, które tylko specjalistów obchodzić mogą. Poprzestajemy na ogólnym rysie i na uwypatnieniu kilku wybitniejszych rzeczy.

Pierwsze miejsce w tej pobieżnej wzmiance należy się wystawie umyślnie dla kongresu urzędzonej. Dla wielu, przybyłych do Peszty, podobna wystawa większe miała znaczenie, niż mowy, referaty, odczyty na posiedzeniach. Wystawa była żywą nauką, była obrazem, który sam przemawiał do widzów. Składała się ona właściwie z dwóch części: z tej która się stale mieści w oddziale archeologii przedhistorycznej w muzeum narodowym i z części, która czasowo urzędzona została przez pojedynczych właścicieli z całego kraju.

Oddział pierwszy, to jest stały, już oddawna między archeologami używał rozgłoszonego imienia. Muzeum peszteńskie znane było z bogactw swoich archeologicznych. Niejeden z archeologów niewątpliwie przybył do Peszty, jedynie dla zbadania tych zbiorów. Jakoż przyznać trzeba, że nikogo nadzieja w tej mierze nie zawiodła. Obfitość materiału jest zdumiewająca. Choćby nawet pod względem liczebnym, węgierskie zbiory innym pierwszorzędnym w Bononii, Kopenhadze, Paryżu nie ustępują. Znać, że zaczęto tu zbierać nie od wczoraj, a znać to jeszcze i z tego względu, że w ustawieniu przedmiotów panuje systemat dawniejszy, nie według miejsc wykopalisk, lecz według przedmiotów danej epoki: więc n.p. broń bronzowa, noże i nożyki ciągną się długim rzędem w kilku szeregach, przedstawiając przeróżne formy jednego typu; albo n.p. zbiór sierpów z brązu, w kształcie litery C z ogonkiem, daje nam obraz tych wielolicznych odmian jednego i tego samego narzędzia, które w różnych stronach Węgier znajdowano. Okres kamienia nie odznacza się ani ilością, ani jakością przedmiotów. Istotną chlubę muzeum peszteńskiego stanowią brzozy, tak liczne, tak typowe, że przypominają w tej mierze zbiory w Sztokholmie i Kopenhadze. Szczególniej uderzają przedmioty do ozdób służące: naramienniki, spiniki olbrzymie. Jedna z nich, pod względem wyrobu i pięknego rysunku, zasługuje na pilną bardzo uwagę. Ciekawą jest niemniej dość długa szpilka, od łebka której spadają ku dołowi dwa sploty ogniw, zakończonych w kształcie podłużnego listka. Niepodobna także zapomnieć broni różnogatunkowej, berdyszów, czekanów, mieczów. Wszystko to razem dla badacza ważny daje materiał do zestawień i porównań; dla mniej wtajemniczonych zaś ciekawem również być nie przestaje, dając obraz cywilizacji pierwotnych ludów, co zamieszkiwały równiny nad Dunajem, lub wzgórzyste w Karpatach miejsca.

Prócz tych przedmiotów archeologicznych, uporządkowanych według gatunków, jest jeszcze kilka zbiorów całkowitych, wykopalisk zupełnych, przedstawiających najwierniejszy obraz tego wszystkiego, co w danej miejscowości, w danym grobie znaleziono. W tej liczbie wspomnieć wypada o wykopalisku z Szihalom, bardzo bogatym, które muzeum otrzymało w darze od biskupa *Ipolyi*. Są także w muzeum przedmioty z żelaza, z późniejszej zatem pochodzące epoki, z czasów wędrowki narodów. Ta epoka jednak, nam już bliższa, więcej znana, dla archeologa jak i dla nauki wogóle mniej przedstawia powabu i mniej też na siebie zwraca uwagę.

Drugą część wystawy stanowiły zbiory, sprowadzone z różnych części, stron i zakątków monarchii węgierskiej, z samych Węgier, z Siedmiogrodu, Banatu, z Chorwacyi, i ustawione wyłącznie na czas kongresu. Była to wystawa prawdziwa, urzędzona pracowicie, starannie. Długim szeregiem w korytarzu tegoż muzeum narodowego, po obu jego stronach, były oszklone szafy z wykopaliskami, ustawione według pewnych grup geograficznych. Jedne z nich obejmowały część górnych Węgier, inne Węgier za Dunajem; następne mieściły w sobie rzeczy archeologiczne, znalezione w dolnych Węgrzech, a w koń-

cu przedstawiał się ze strony swych zbiorów archeologicznych kraj siedmiogrodzki.

Po drugiej stronie korytarza stały witryny z ciekawszymi okazami, które przysłano z Moraw, Chorwacyi i t. d. Na ścianach prócz tego wisiały mapy geograficzne, geologiczne, wizerunki przedmiotów, wszystko dla ułatwienia pracy zwiędzającym wystawę gościom. Szczegółowy katalog, sporządzony przez dra Hampel konserwatora muzeum, stanowił największą w tym względzie dogodność (Catalogue de l'exposition préhistorique des musées de province et des collections particulières de la Hongrie. Budapest 1876.) Dla tych co zwiędzili wystawę, katalog będzie miał wielką wartość, ozdobiony bowiem jest 178-ą drzeworytami znakomitszych i ciekawszych wykopalisk. Drzeworyty odznaczają się dokładnością rysunku. Ułatwią one przypomnienie i studia porównawcze.

Bogactwo wystawy, ład i porządek, systematyczność w ustawieniu, oto jej zalety, które zjednały wystawie peszteńskiej powszechne uznanie. Przedstawiała ona co do swjej treści to samo niemal, co zbiory stałe muzeum: brak przedmiotów różnorodnych z epoki kamiennj, a wielką mnogość różnorodnych typów brązu. Wyliczenie szczegółów byłoby tu zbyt nużącym. Nie możemy jednak pominąć kilku ważniejszych rzeczy.

Z przedmiotów kamiennych była wielce ciekawa kolekcya p. Szabo, prof. mineralogii przy uniwersytecie w Peszcie, obejmująca w wielkiej ilości minerał znany pod nazwą obsydianu. Jest to rodzaj szkła wulkanicznego, albo lawy szklanej, koloru czarnego, niekiedy zielonego, żółtego i t. d.; zwykle się też znajduje w okolicach wybuchających lub wygasłych już wulkanów, na wyspie Islandyi, w Meksyku i t. d. Dziś jeszcze używa się do wyrobu guzików, koleczyków lub innych tego rodzaju przedmiotów; ludy zaś pierwotne, nieznające kruszców, wyrabiały z obsydianu strzały, noże i t. d. Zdaje się, że prof. Szabo pierwszy w Węgrzech znalazł ten minerał w hrabstwach Zemplen i Szarosz. Niektóre egzemplarze czerwonego koloru szczególniejszą ciekawość obudzały. Zasługiwały także na uwagę rdzenie (nucleus) z obsydianu, na których pozostały ślady wyrobionych z danego kawałka nożyków.

Do tegoż działu kamiennj epoki odnieść także wypadnie bardzo bogaty zbiór, o tyle ciekawszy, że swój początek i wzrost zawdzięcza pracowitj zbieraczce, pannie Zofii Tormie, która w ciągu kilku lat ostatnich poświęciła się poszukiwaniom archeologicznym w Siedmiogrodzie, w okolicach miasta Tordos. Zbiór ten szczególnie odznacza się bogactwem okruszków kamiennych, narzędzi wyrobionych z kości, odpadków kuchennych i t. d.

Wreszcie o jednym tylko jeszcze zbiorze nadmienić wypada, żeby w tym rysie ogólnym najważniejszych nie pominąć rzeczy. Był-to zbiór barona Nyáry, w pięciu ogromnych szafach szklanych się mieszczący. Jedną z nich wypełniała całkowicie kolekcya urn czyli popielnic, istotnie uderzająca bogactwem okazów, z jednej mnięj więcj pochodzących okolicy. W drugiej znów widziałeś cały szereg ulepionych z gliny czworonoznych zwierząt. Były to niewielkie figurki, wyobrażające może zwierzęta domowe przedhistorycznej ludności tego miejsca, gdzie znalezione zostały. Nadto w tym, jak i w innych zbiorach zwracały na się uwagę okazy z brązu, szpilki, spinki, pierścienie n. p. w kształcie węzów, oszczepy, dziuryty i t. d. Wkońcu uwydatnić tu należy przedmioty znalezione w grobie wojownika jakiegoś: strzemiona żelazne, uzdę końską, blaszki żelazne jako ozdoby do pasa, a wreszcie monety z czasów Ludwika Pobożnego, a więc z pierwszj połowy IX wieku. Ten ostatni dodatek w grobie cennym jest dla archeologii nabytkiem, skoro daje możność dokładniejszego niż w innych razach określenia czasu, do którego się wykopalisko odnosi. Wielce nauczające były podobnie starożytności ze zbioru siedmiogrodzkiego z Kološwaru.

Nie nadużywajmy już jednak cierpliwości czytelnika. Rzućmy tylko raz jeszcze okiem na ca-

łość wystawy. Powszechnie słyszałeś słowa prawdziwego uznania dla pilności i umiejętności, z jaką cała wystawa urządzona została. Istotnie w tym względzie wyświadczyli Węgrzy prawdziwą przysługę archeologii przedhistorycznej. Nikt prawie nie miałby czasu, środków, wreszcie możliwości widzenia tych wszystkich zbiorów prywatnych, rozrzuconych po całym kraju, nieraz kryjących się w ciasnych pokojach mnięj zamożnych zbieraczy i miłośników. Tu z całą swobodą przechodziłeś od jednej szafy do drugiej. Komu potrzebnem było blięj przedmiot obejrzyć, zmierzyć, przerysować, temu chętnie czyniono zaadość. To też nieustannie, od rana do zmroku, spotykałeś tu poważnych pracowników, którzy chętnie zbierali wzory z tych przeróżnych przedmiotów, żeby je porównać ze swojskimi. Jeśli nieraz podawano w wątpliwość pożytek płynący z tych głośnych, ostentacyjnych kongresów, to choćby już tylko ze stanowiska wystaw, a szczególniej takięj, jaką u siebie urządzili Węgrzy, da się zasada istnienia kongresów najzupełniej obronić.

Wróćmy jednak raz jeszcze, mimo to żeśmy już rzeczy naszą o wystawie zamknęli, do tegoż samego przedmiotu. Prócz wystawy węgierskiej, była, na prośby poprzednio rozesłane przez komitet peszteński, urządzona także wystawa przedhistoryczna krajów ościennych. Komitet kierował się słusznie w tej mierze myślą, że sąsiednie kraje mogą, wystawiając swoje okazy archeologiczne, przyczynić się do uwidomienia bądź związku, bądź różnicy między niemi zachodzącj. Były więc przedmioty z Moraw, były okazy ze Styryi, mianowicie z pięknego zbioru hrabiego Wurmbrand; najwięcej jednak zwracały na siebie uwagę w oddzielnym przedsiönku umieszczone wykopaliska i okazy archeologiczne z krajów między Karpatami a morzem bałtyckim. Była-to wystawa, okolo urządzania której chodził z prawdziwym poświęceniem p. Bajer z Warszawy; sam niemal, przy pomocy pana Sadowskiego z Krakowa, wszystko poustawiał, ponumerował i szczegółowy w języku francuzkim przygotował katalog, który dodatkowo do głównego członkom kongresu rozdawano. Cała ta wystawa na oko pięknie sprawiała wrażenie starannością zewnętrzną, a większe jeszcze w znawcach obudziła zajęcie. Nieraz tłumnie zgromadzali się okolo nięj uczeni, by w pojedynczych rozpatrywać się grupach. Powszechny podziw wzbudzały strzałki krzemienne, pochodzące ze zbioru prof. Przyborskowego, a równych sobie niemające na całej wystawie węgierskiej. Zatrzymywano się też często przy zbiorze p. Podeszazyńskiego, oraz przy zbiorze p. J. Zawiszy. W wystawie przyjęli nadto udział p. Bajer, oraz prof. Pawiński, który wystawił czaszki długogłowe (dolichocephali), wykopane w roku przeszłym w Kamocinsku, w pow. piotrkowskim. Z krakowskiego muzeum były brązy i srebra filigranowe, były przedmioty wystawione przez dra Baranieckiego, czaszki z Pokucia przez dra Kopernickiego. Były również okazy, które przywiózł p. Sznajder ze Lwowa. Na ścianach wisiały piękne a kosztowne fotografie Tow. przyj. nauk poznańskiego, wyobrażające w całości oddzielne wykopaliska. Prof. Łepkowski wystawił znacznych rozmiarów wzór mapy obrazowj, przedstawiającj w znakach odpowiednich rodzaj wykopalisk danęj miejscowości. W tym samym przedsiönku, tuż obok, mieściły się znaczniejsze okazy, przywiezione przez p. Tischlera z Królewca. Mianowicie piękne były egzemplarze wyrobów bursztyanu, oraz spinki brązowe. Całość tej wystawy ościennych krajów sprawiała miłe wrażenie, a pojedynczym szczegółom przypatrywali się nieraz pilnie uczeni różnych krajów archeologowie.

KORESPONDENCYA TYGODNIKA ILLUSTRWANEGO.

Kraków, w połowie października.

Tém, coby Kraków najwięcej obecnie zajmować powinno, są wybory posłów na sejm, ważniej-

sze teraz niż kiedyindziej, ponieważ kraj po skończeniu w tym roku jednéj kadencyi sejmowj, ma wszystkich swoich reprezentantów nanowo wybiierać. Jednakże, u nas przynajmniej, niema śladów owęj parlamentarnęj i politycznej gorączki, jaka niegdys przy podobnej sposobności umysły rozgrzewała. Ci tylko, co dawniejszemi czasy weszli na polityczne tory, trzymają ich się jeszcze; nowych ludzi, z jakąś ambicyą i myślą polityczną, nie widać. Kraków przy tych wyborach o tyle odgrywa ważniejszą rolę, że jest siedliskiem centralnego przedwyborczego komitetu w Galicyi zachodniej, którego zadaniem było głównie utworzenie podobnychże komitetów miejscowych w rozmaitych powiatach. Na zgromadzeniu wyborców, odbytem tu przed kilku dniami, wybrano już miejscowy komitet przedwyborczy, do którego przedstawienie kandydatów na posłów należeć będzie. Według tego jak rzeczy do dziś dnia stoją, najprawdopodobniej wszyscy trzej dawni posłowie krakowscy utrzymają się i na nową kadencyą.

Akademia umiejętności rozszerzyła już znacznie swoje lokale, przez dodanie kilku sal, wystawionych na dziedzińcu nabytego przez nią w roku przeszłym, a sąsiadującego z gmachem akademii domu. Do tych sal na piętrze przeniesionem zostało muzeum i zbiory archeologiczne, sale zaś dolne przeznaczone są na bibliotekę, tak znacznie, jak wam wiadomo, ostatniemi czasy powiększoną. Sala zajmowana dawniej przez muzeum, ozdobiona ładnym malowaniem na suficie, a biustami i portretami po ścianach, stała się teraz salą posiedzeń wydziałów i komisyj. Sali takięj, ściśle rzeczy biorąc, dotychczas nie było, bo niewielki i w niedogodnym miejscu położony pokój, w którym dawniej posiedzenia się odbywały, nie odpowiadał pod żadnym względem swemu przeznaczeniu. Także wielka sala, w której odbywają się posiedzenia publiczne, ma otrzymać niezadługo nową ozdobę, a będzie nią posąg Kopernika, rzeźbiony w marmurze przez p. Walerego Gadomskiego. Piękne to dzieło długo czekało na nabywcę i dopiero niedawno zakupione przez hrabinę Potocką, w imieniu zmarłego hr. Adama Potockiego, na jego pamiątkę ofiarowane zostało akademii.

Pan Gadomski przez kilka ostatnich lat przebywał to w Wiedniu, to na wsi w Galicyi, stosownie do okoliczności, niezawsze dla niego przyjaznych; w ostatnich zaś czasach przeniósł się do Krakowa i tutaj urządził sobie odpowiednią pracownię. To przeniesienie się na miejsce stałe przyczyni się zapewne do rozszerzenia jego działalności i nowego doda mu bodźca, zwłaszcza że pan Gadomski, nawet w warunkach mnięj korzystnych, nigdy w pracy nie ustaje i naszą wystawę sztuk pięknych zawsze swemi utworami zasila. Obecnie także znajduje się na wystawie kilka jego prac, jak: „Dziewczyną z rozbitym dzbankiem“, „Niewidoma“ a z drobniejszych rozmiarem „Wit Stwosz“, trzymającj w ręku dyplom obywatelstwa, nadany mu przez Kraków, po ukończeniu ołtarza w kościele Maryackim. Kilka biustów znanych powszechnie osobistości należy do prac ostatnich p. Gadomskiego.

Rzeźba nie dobiła się jeszcze u nas tej popularności i nie obudza tego zamięłowania, co malarstwo; mimo to w samym nawet Krakowie ma ona kilku zdelnych bardzo przedstawicieli. Ostatniemi czasy w szeregu tutejszych rzeźbiarzy wystąpił także p. Celiński, niegdys uczeń krakowskiej szkoły sztuk pięknych, obecnie kształcący się w Wiedniu. Pięć jego prac, którą publiczność miała sposobność oglądać, jest niedawno dany na wystawę „Giermek“, rzeźba większych niż naturalne rozmiarów. Jako kompozycya nie tłumaczy ona dość jasno treści, wziętj ze znanęj bałady Morawskiego; ale jako studjum w stylu zbliżonym do antyku, daje zaszczytne świadectwo o młodym rzeźbiarzu i obudza nadzieje co do jego przyszłości.

Na zakończenie tych wiadomości z zakresu sztuki, muszę jeszcze donieść o nowym zbiorze rysunków p. Cerchy. Z ostatniej swojéj wycieczki, odbytj tego lata do Końskich, przywiózł on

ze sobą sporą i bogatą tekę widoków, zdjętych ze starożytnego, podobno nawet, jak niektórzy utrzymują, Duninowskiego kościoła, znajdującego się w tém mieście. Rysunki p. Cerchy przedstawiają zarówno całość tego kościoła, jak jego pojedyncze części i szczegóły, np. ornamenta, nagrobki, szczątki starożytnych chrzcielnic, czy też sarkofagów, drzwi w stylu romanskim i t. p., a dokonane są z wszelakiem uwzględnieniem ich architektonicznej i archeologicznej wartości. Byłoby rzeczą bardzo pożądaną, gdyby p. Cercha ten cenny zbiór w jakikolwiek sposób dał poznać publiczności szerszej i tym którzy dziejami sztuki u nas się zajmują.

Biblioteka ks. Czartoryskich, dla której, jak czytelnikom Tygodnika z dawniejszych mych listów wiadomo, właściciele za siedzibę stałą nasze miasto obrali, została przewieziona jeszcze na wiosnę ze Sieniawy do zabudowań przy bramie Floryańskiej, będących dawnymi czasami arsenałem miejskim. Obecnie odbywa się przewożenie archiwum, gabinetu numizmatycznego, zbioru starożytności i rycin, po ukończeniu którego wszystkie te zbiory, począwszy od manuskryptów, zostaną niezwłocznie rozpakowane.

O udziale Polaków w kongresie antropologiczno-archeologicznym w Peszcie do poprzednich moich doniesień dodać jeszcze mogę parę szczegółów. Wystawa polska nie odznaczała się liczbą, bo wogóle nie wynosiła więcej nad 386 przedmiotów; były to jednak same prawie rzeczy wyborowe, których dostarczyli: akademia umiejętności, gabinet archeologiczny uniwersytetu Jagiellońskiego, dr. Izidor Kopernicki, hr. Wład. Czartoryski, pp. Kar. Rogawski, Jan Zawisza, Józ. Przyborowski, K. Bajer, B. Podczaszyński, A. Szumowski i wreszcie zbiór królewiecki. Ze zbiorów akademii zwracały na siebie szczególną uwagę: korona brązowa i miedziana siekięra; z okazów wystawionych przez gabinet archeologiczny uniwersytetu Jagiellońskiego: przedmioty, wykopane w Oliwie, naczynie brązowe znalezione w Rzerzuszn pod Kielcami, zapinka brązowa z Litwy i naszyjnik z Połowa. Wreszcie wspomnieć należy i o wielu także przedmiotach posłanych przez osoby prywatne, jak: zbiór strzałek p. J. Przyborowskiego, miecz brązowy ze Sieniawy, czerpak brązowy z czasów rzymskich, pod Kaliszem znaleziony, ze zbioru p. Podczaszyńskiego, okazy archeologiczne znalezione w jaskiniach, własność p. Zawiszy, grot żelazny, nabijany srebrnymi runami, p. Szumowskiego. Czaszki przedhistoryczne, wystawione przez dra Kopernickiego, obudzały powszechne zajęcie między obecnymi w Peszcie archeologami. Z Poznania tamtejsze Towarzystwo przyjaciół nauk przysłało tylko kilka fotografii swoich zbiorów, które obudziły żal, że Towarzystwo nie oryginałów nie wystawiło.

Teatr krakowski w ciągu lata, gdy przedstawienia dawane były w teatrzyku letnim, miał czas nieco odświeżyć swoją powierzchowność, loże bowiem wszystkich piąt zostało nanowo wyklejone, krzesła odmalowane i wreszcie na lożach pierwszego piętra napisano nazwiska celniejszych autorów dramatycznych polskich, począwszy od Jana Kochanowskiego, a kończąc na najmłodszym z niezjących już, Narzyskim. W personale teatralnym nastąpiły także niektóre zmiany. Miejsce p. Kwiatyńskiej, która przeniosła się podobno do Lublina, zajęła p. Marcello (pseudonim), znana już poprzednio na scenach prowincjonalnych w królestwie polskim; nadto przybyła także do ról naiwnych p. Czaki. Ta ostatnia, jak się zdaje, w Krakowie po raz pierwszy na deskach teatralnych się pokazała, co jeżeli jest prawdą, tém chlubięj przemawia za jęj zdolnościami, które bardzo szybko się rozwijają. Kurs zimowy rozpoczął się przedstawieniem komedyi Sewera: „Pojedynek szlacheckich.“ Ponięważ sztuka ta drukuje się obecnie w Tygodniku, a nadto niezadługo będzie także graną w Warszawie, nie potrzebuję oznajmiać czytelników z jęj treścią, ani też uprzedzać zdania krytyki miejscowej.

W końcu września bawił tutaj dr. Franciszek

Hipler, rektor seminarium w Brunsberdze, prezes Towarzystwa historycznego warmińskiego, autor kilku dzieł mających styczność z naszą literaturą i historią, jako to: „Literaturgeschichte Ermlands“, „Analecta Warmiensia“, „O portretach Kopernika.“ Do Krakowa przybył on w celu korzystania z materiałów do biografii Dantyszka, których ks. Czartoryski dostarczył akademii umiejętności. Dr. Hipler znajdował się na jednem posiedzeniu akademii, które głównie z powodu jego bytności w ciągu wakacyjzwołanem zostało, było to zaś posiedzenie komitetu utworzonego do opracowania aktów Hozyusza, o czém wiadomość bliższą może czytelnik znaleźć w jednej z niedawnych moich korespondencji.

Rok szkolny w nowoutworzonej zamiast instytutu technicznego wyższej szkole techniczno-przemysłowej rozpoczyna się dopiero w połowie b. miesiąca, a to z tej przyczyny, że nominowanie dyrektora i profesorów nieco się opóźniło. Dyrektorem tego nowego zakładu mianowany został p. Stan. Ziemiński, inżynier i profesor akademii technicznej we Lwowie. Pochodzi on z Warszawy i dopiero przed dwoma laty otrzymał tutejsze prawo obywatelstwa. Nowy dyrektor bardzo chwalebnie rozpoczął swe urządowanie, na pierwszy początek bowiem utworzył stypendyum w ilości 300 złr., dla najpilniejszego ucznia w swoim zakładzie.

Właśnie w tych dniach doszła nas niespodziana wiadomość o nagłej śmierci Augusta Bielowskiego. Po zgonie Fredry, jest to druga już w tym roku nieodżałowana strata dla akademii umiejętności. Do współuczestniczenia przy pogrzebie ś. p. Bielowskiego udali się ztąd do Lwowa p. Józef Szujski, jako sekretarz akademii, i p. Lucyan Siemiński, przyjaciel i niegdyś towarzysz broni nieboszczyka. Mimowoli nasuwa się pytanie, co się stanie dalej z wydawnictwem Monumentów historycznych, nad których trzecim tomem Bielowski właśnie pracował, a którym w jego osobie usuwa się główny filar.

Od połowy b. miesiąca zacznie tutaj wychodzić nowe pismo „Kuryer krakowski.“ Działu politycznego mieścić w sobie całkiem nie będzie, a co do reszty, ma być podobnym do starszych swoich braci, Kuryerów warszawskich. Tyle razy robiono już u nas próby wydawania pisma w tym rodzaju, że będzie to wistocie cudem, jeśli obecna próba się powiedzie.

SZEWCKIE DZIECKO,

POWIEŚĆ

przez

Teodora Tomasza Jeża.

(Dalszy ciąg.)

Takimi są wszyscy wogóle młodzi ludzie. Gątniek roli dobry, chodzi tylko o to, ażeby ją uprawiać należycie. Tadeusz Zdziarnowski przedstawiał rolę uprawioną nieosobliwie; rosły na niej i rośliny pożyteczne i chwasty w pomieszaniu, znamionującym niedołęstwo ręki co ją uprawiała. Rzecz cała zależała od niego samego. Wyemancypował się za sprawą ojca, któremu się wydawało, że odbierając go ze szkół przed ukończeniem nauki i dając mu swobodę, idzie z postępem. Orchowice przedstawiały medal z prawej strony, Kochanówka z lewej. Tu, w imię postępu, wznoszono zakłady, mające na celu nauczanie i pracę; tam budowano pałace i organizowano swobodę próżniactwa.

Pan Tadeusz mieszkał z rodzicami tymczasowo; był gościem w domu, oczekując na własne mieszkanie, przygotowujące się dla niego na jednym z folwarków, na którym urządził się domek kawalerski, wygodny a niewielki, pokojów osiem, oficyna, stajnie, park zagajony i arena. Państwo Zdziarnowscy myśleli o przyszłości jedynaka i wyobrażali snadź sobie takową pod postacią wyścigów na teatrze życia. Dla tego to zapewne

nie zapomniano o arenie, przy urządzeniu pomieszczenia dla Tadzia

Tymczasem atoli mieszkał Tadzio przy rodzicach, przeobrażając się ze studenta na kawalera. Przeobrażenie nastąpiło nagle, dzięki krawcowi, który zaopatrzył młodzieńca w odzież modną w obfitości wielkiej i w różnaitości ogromnej, co do kroju i użytku. Przyczynił się do tego także i fryzjer. Pierwszy wyszykował tużurki, bonzurki, fraki, saki, paltoty etc., drugi stworzył na głowie przedział charakterystyczny, idący na lewo nieco i rozdwajający okrycie czaszki na dwie nierówne części, o których jeden z przyjaciół moich wyraził się, że oznaczają półgłówka z jednej i półgłówka z drugiej strony. Postrzeżenie przyjaciela mego stosowało się do Tadzia literalnie. Niestety! młody ten człowiek pomazany był na półgłówka.

Ale miał o sobie rozumienie jaknajlepsze.

Lepsze jednak jeszcze rozumienie mieli o nim rodzice. Byli oni tego przekonania, że za to iż syn ich na świat przyjsć raczył i Zdziarnowskim się nazywał, należy się mu ze strony społeczeństwa premium, które wyobrażali sobie pod postacią różnaitości, myśląc że, gdyby na ziemi panowała sprawiedliwość bezwzględna, to Tadzio zająłby stanowisko dalaj-lamy. Zraziły ich jednak szkoły. Fakt, że promocyi nie dostał, dał im do poznania, iż na sprawiedliwość ludzką liczyć nie można i starać się należy o premium na innej drodze.

— Nie dostąpi dostojeństw wysokich—powiadał pan August—to niech-że przynajmniej życia użyje.

— A potem?—pytała pani Konstancja, troskliwa przezornością macierzyńską.

— Potem?..

— Młodość nie kwitnie wiecznie.

— Ożeni się.

Wyraz ten ostatni skupiał i zogniskowywał w sobie ogrom cały troskliwości rodzicielskiej o przyszłość jedynaka. „Ożeni się“ znaczyło: dostanie posag; to zaś ostatnie zwracało uwagę państwa Zdziarnowskich na pęcażne w okolicy panny, a pomiędzy innemi na dziewczynkę owę, której złotą główkę i jasną twarzyczkę zoczył bohater nasz przez okno wagonu. Dziewczynka owa była siostrzyczką Frania.

— Niech rośnie—myśleli sobie o niej pan August i pani Konstancja. Dojrzeje w tej właśnie chwili, w której Tadzio będzie już mógł seryo o ożenku myśleć.

Tadzio i Helcia znali się—razem rośli. Państwo Zdziarnowscy wozili syna do dzieciątka płci niewieściej, zagrożonego wielkim wianem, kiedy dzieciątko to w pieluchach jeszcze było, i wozie nieprzestawali później, pomimo że pomiędzy państwem Zdziarnowskim a panem Orchowskim zachodziły różnice radykalne we względzie przekonania, widoków, zapatrywania się na świat, na obowiązki i prawa. To jednak nie przeszkadzało. Stempel na pieniądzech ma charakter ogólny. Talar jest talarem zawsze i wszędzie i jednakowo trafia do przekonania ludzi opinij najsprzecznieszych. A przytém jeżeli opinie państwa Zdziarnowskich nie zgadzały się z opiniami pana Orchowskiego, to zgadzały się z opiniami pani Orchowskiej, która córkę trzymała przy sobie. Państwo Augustostwo należeli do ludzi tego rodzaju, co to pała świeczki ofiarne i Panu Bogu, i diabłu. Pan August, odbierając syna ze szkół, nie omieszkał złożyć wizyty pani Krzysztofowej, wizyty której charakter był podwójny: miał znaczenie odwiedzin etykietałnych i kondolencyi serdecznej.

— Nie mogłem przenieść na sobie—były słowa pana Augusta—ażeby, będąc w N., nie złożył pani dobrodziejce uszanowania mego.

— Spełnia pan dobry uczynek, odwiedzając kobietę stroskaną—odpowiedziała pani Ewelina.

Pan August westchnął.

— Wyobraż pan sobie—ciągnęła pani—pan Krzysztof nieludzkim jest do tego stopnia, że mi Frania na czas wakacyj odmawia.

— Czyż to być może?—zawołał pan August tonem oburzenia.

— Tak jest. Prosiłam choć na tygodni parę.

ca? A będąc bratem matki, czy nie starałem się złagodzić w dziecku pamięci sieroctwa?

LIDYA.

Nie zaprzeczam temu, mój lordzie, i jeżeli się odwołujesz do wdzięczności, nikt...

LORD.

Tylko do zaufania.

LIDYA.

Każesz mi mieć zaufanie, więzając człowieka, którego nazywam narzeczonym i którego kocham!

LORD.

Więzę?—nie, moja pani, ja go tylko zatrzymuję. Przecież chciał uciekać! (*Lidya siada.*) Podstępem zaledwie zdołałaś go zjednać, a gdy podstęp upadł, prawda wyszła na jaw. Chcąc go zatrzymać, należało go zamknąć. Wypełniam tylko twoją wolę, dziecię moje. Zatrzymuję go—bo inaczej uciekłyby. Zatrzymuję go, aby rumieniec wstydu nie palił jego twarzy, na samą myśl dobrowolnego towarzystwa z nami.

LIDYA (*smutno*).

I dlatego go więzisz?

LORD (*siada*).

Ja tylko, jako opiekun, czuam nad spełnieniem obowiązków, które moja siostrzenica włożyła na niego. Córnka lorda Brougham nazwała młodzieńca swym narzeczonym wobec ludzi i gdyby ten nie został jej mężem, cień pewien padłby na moje ukochaną córkę, a cienie tutaj rażą, jak gdzieindziej zbyt światła. Stało się, moje dziecię, niewolno nikomu odrzucać ręki mój siostrzenicy, jeżeli ją siostrzenica moja raczy podać. Niewolno nikomu odrzucać tak wspaniałej ofiary, chociażby to był książę, lord, a nawet—nawet profesor historii.

LIDYA (*pośpiesznie*).

Chcesz go zatem zmusić do ożenienia się ze mną, chociażby przez więzienie?

LORD.

Tak kwestya stoi—inne punktu wyjścia niema—kwestya której nie nawiązywałem.

LIDYA.

Lidya ma więc prosić?

LORD.

Nie, moje dziecię, rozkazywać.

LIDYA (*oglądając paluszki, filuternie*).

A jednak dziś, zdaje mi się, prośby i rozkazy może są zbyt liczne...

LORD.

I ja coś podobnego zaczynam podejrzewać.

LIDYA.

Mówisz, mój lordzie, o podejrzeniu?

LORD.

O podejrzeniu, moja pani, gdyż mamy do niego powody.

LIDYA (*zdzwoniona*).

Powody?

LORD (*poważnie*).

Jeżeli młodej osobie udało się poznać młodego człowieka i nareszcie, skutkiem zbiegu okoliczności, lub sympatii, pokochać go, wtedy samo uczucie, które o tyle jest szlachetnym, o ile ugruntowanym na zaufaniu, stoi na straży i nie pozwala stronie interesowanej robić żadnych poszukiwań, dla dowiedzenia się o przeszłości człowieka, któremu oddaliśmy serce. Zresztą pocóżbyśmy się mieli trudzić, gdyśmy już naprzód, w gorączkowym pośpiechu młodości, serce to ofiarowali? Zwykle jednak tak się dzieje z porządku rzeczy i układu stosunków, że młode, zakochane osoby mają opiekunów, na których spada ciężka rola śledzenia, badania

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

Listy z wystawy filadelfijskiej, Sygurda Wiśniowskiego.

Wystawa krajowa.

(*Dalszy ciąg*).

Zbiór z fabryki Jana Epsteina, w Soczewce, składa się z wykwińniętych okazów, mianowicie z papierów listowych, do rysowania, malowania i do cygaret. Jeden z urzędników komisji powie-

dział mi, jakoby sędziowie nazwali go najlepszą wystawą papieru w sekcji rosyjskiej.

Z wyjątkiem fortepianów Kralla i Seidlera z Warszawy, o których obszerniej powiem poniżej i kilku drobnych próbek, wymienilem prawie wszystkie okazy, żywił czytelników Tygodnika obchodzące, a zawarte w pałacu głównym. Ci wystawcy, których okazów, pomimo najlepszych chęci, odszukać nie mogłem, wybaczą zapewne milczenie moje o nich, pomnąc że nie chodzi mi o spisanie katalogu, lecz o wypowiedzenie w jakim stanie znalazłem rzecz każdą z Warszawy na wystawę posłaną, co sprzedano i co mi się od znawców o nich usłyszeć udało. O niewidzianych rzeczach pisać nie śmiem; nie z braku zaś ochoty nie mogłem ich odszukać w nawale innych towarów.

O Kralla pysznym fortepianie palisandrowym niczym napisać nie mógł, gdybym nie był otrzymał laskawej informacji od znawców. Forte pian ten, dla ochrony od kurzu i psotnych palców, na klucz zamknięto. Otworzono go jednak w obec przysięgłych, którym dosyć krótkie wypróbowanie starczyło na przyznanie mu medalu. Zaszczyc to niemały dla fabrykantów, a nawet dla miasta, gdyż zdobyty w Ameryce, ojezyźnie Steinwaya, pogromcy najlepszych wiedeńskich i niemieckich fabrykantów fortepianów. Doniosłość jego lepiej pojmiemy, wiedząc że dla krótkości czasu pomiędzy okazami, pp. Krall i Seidler nie mogli, jak francuzcy i niemieccy mistrze, zbudować cacka wystawowego, lecz posłali zwykły fortepian ze swego składu, gdzie zapewne rodzonych ma braci szków. Fabryki zagraniczne zawsze budują dwa rodzaje fortepianów, jeden na wystawę, drugi dla publiczności. Cieszymy się, że w Warszawie inny panuje zwyczaj. Pomimo takiej przezorności, nawet Erard paryzki nie śmiał wystąpić w kraju Steinwaya ze swymi wyrobami i jaśniał w Filadelfii nieobecnością. Poczciwy Warszawianin popłynął za morze i wrócił z medalem.

Z głównego pałacu wypada nam teraz przejść do aneksów fotograficznych, oraz skór, obuwi i powozów.

Wystawę fotograficzną rosyjską umieszczono w pawilonie pomiędzy głównym pałacem i wystawą sztuk pięknych, w sali otwartej od alei, dzielącej gmach ten na połowę europejską i amerykańską, oświetloną przez duże okno w ścianie południowej. Zapewniono ją okazami p. p. Bergamesco z Petersburga, Mieczkowskiego, Kostki i Mulerta i Elego z Warszawy, oraz Tyszkiewicza. Album patologiczne Brandla z Warszawy złożono, jako przedmiot naukowy, w zbiorze edukacyjnych przedmiotów rosyjskich, w pałacu głównym, chociaż je wpisano do katalogu fotograficznego pawilonu. Niedziw że odszukać go nie mogłem, wobec takiego nieładu.

Okazy Tyszkiewicza także należały do oddziału naukowego, pomimo wysokiej swej wartości artystycznej, gdyż przysłano je jako etnograficzny zbiór typów arabskich i wizerunki z życia algierskiego. Zbiór ten możnaby nazwać fotografią podróży po Algierji, wizerunków ementarzy, obozów wojskowych, żydowskich pomieszczeń, namiotów kabylickich, a nawet haremów maurytańskich.

Pod względem naukowym chyba pyszny zbiór, przysłany przez rząd amerykański z Montany i Aryzony, przedstawiający Szwajcaryję amerykańską i grody w skałach przez wygasłych inkasów wykute, mógł się równać z Tyszkiewicza wystawą. Co w Ameryce rząd uczynił, magnat nasz samopas tego dokazał.

Ścianę północną sali rosyjskiej oddano w całości p. Mieczkowskiemu. Chociaż odległość Ameryki od Warszawy nie pozwoliła dostarczyć tyle okazów na tegoroczną wystawę, jak na wiedeńską, dość jednak przysłał, by ścianę tę ozdobić przyzwoicie. Większą połowę przeciwniej ściany pokrywała wystawa Kostki i Mulerta, zostawiając okazom Bergamesco mniejszą jej połowę.

Jak na poprzednich wystawach, tak i tu przekonano się, że fotografie wielkich rozmiarów, ko bięt mianowicie, są specjalnością warszawską.

Amerykanie mają także w swojej wystawie duże fotografie, lecz te prawie zawsze wiszą bardzo wysoko, z przyczyny że są powiększonymi odbiciami małych fotografii i nie znoszą przypatrywania się im zblizka.

Fotografom Mieczkowskiego, przeciwnie, pomimo że wiszą ledwie o 6 stóp od ziemi, oświetlenie z boku, nie zgóry, nie zdołało odebrać wypukłości i delikatności. Pamiętajmy że wizerunki tę mają 58 centymetrów wysokości i że wymagają niezmierniej ze strony artysty zręczności w przygotowaniu płyty negatywnej, w doborze kolodyum, odpowiadającego cerze osoby fotografowanej, i w nadaniu jej takiej pozy, by cierpliwość kobięcia wytrzymała ogniową próbę długiego siedzenia przed kamerą. Sekret ten pozostaje dotąd własnością Warszawy, zdobywając dla jej fotografów medale, order i tytuły.

Reputacya p. Mieczkowskiego lepiej podobno i dłużej znana jest czytelnikom Tygodnika, niż piszącemu te słowa. Rzuciwszy więc pożegnawcze spojrzenie na przesłany portret p. Heleny Modrzejewskiej, którą na dzień przed oglądaniem jej fotografii odprowadziłem na okręt do Kalifornii odpływający, przechodzę do 14-stu pięknych portretów w wielkim rozmiarze, tworzących wystawę Kostki i Mulerta. Nic lepszego od nich nie spotkałem nigdzie. Celują one, wedle zdania amerykańskich znawców, czystością, miękkością, oświetleniem i znajomością pozowania.

Pan Eli otrzymał bardzo niekorzystne miejsce zewnątrz sali, tuż przy drzwiach do niej prowadzących. Oświetlenie tam nienajlepsze. Okaz jego jest jedynym w tym rodzaju na wystawie i wpada w oko Amerykanom, mianowicie ze średniego stanu, kochającym się w kolorowanych fotografiach.

Polacy przydają się widocznie na wybornych fotografów, gdyż p. Władysław Straszak pokazuje piękne fotografie w oddziale helgijskim, Ludwik Szaciński zaś, pierwszy fotograf w Chrystyanii, ma najlepsze okazy w oddziale państw skandynawskich.

Połowę wystawy rosyjskiej w pałacu powozowym przysłano z Warszawy, gdyż z dwóch par chomątów jedna należała do p. Brandstettera, a z dwóch powozów jeden do pana Wernika. Był to zgrabny char-à-banc, wybity szaraczkową bogatą materją. Powtarzam, zgrabny, wedle pojęć europejskich, gdyż Amerykanom zupełnie do smaku nie przypadają nasze pojazdy. Sądząc z okazu pana Wernika, rywalizuje on z wiedeńskimi fabrykantami. Czemuż nie uczą się powoźnicy warszawscy od Amerykanów? Patrząc na najlepszy okaz choćby paryzki, dziwić się wypada, dlaczego Europejczycy trzymają się uparcie swych kół grubych, osi żelaznych, pudeł ciężkich, ku krzywdzie biednych koni ciągnących te ciężary. Bruki kamienne amerykańskie ułożono zapewne wedle arcy-wzoru z Warszawy otrzymanego, a drogi miejskie naśladowują szlaki Pokucia, na których wspomnienie dotąd drzę jeszcze tak mocno, jakby mnie po nich wieziono bryczką galicyjską, lub wózkiem węgierskim. Jednak wazkie, wysokie koła zaatlantyczne i osie stalowe niegrubsze prawie od prętów, przesuwają się po nich bez szwanku. Na podobne koła trzeba sprowadzać drzewo niesłychanie lekkie i silne, zwane w Ameryce *hickory*. Tylko z jego pomocą mogą fabrykanci europejscy kiedykolwiek wystawić coś równie zgrabnego, jak setki powozów przysłanych do Filadelfii przez amerykańskich fabrykantów. Dziś wóz farmerski amerykański prawie równie lekki jest i zgrabny, jak faeton używany w lasku bułońskim.

Na krakowskie chomąta p. Fryderyka Brandstettera patrzano z ciekawością w Filadelfii, właśnie dlatego, że nie naśladowały angielskich. Posłanie tak oryginalnej rzeczy na wystawę było trafną myślą, której właścicielowi chomąt winnować wypada. Fotografia pary dziańskich koni, uprzężonych w ten sposób, wielu cudzoziemcom wpada w oczy; nie wątpię też że p. Brandstetter znajdzie kupca na towar posłany i może nawet otrzyma zamówienie zamorskie.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

Sztuka włoska w epoce odrodzenia,

przez M. Carrière'a.

II.

Rozkwit sztuki włoskiej.—Leonardo da Vinci.—Michał Anioł, Rafael, Correggio, Tycjan.

(Dalszy ciąg).

Ze ściennych malowideł przypatrzymy się najprzód poświęconym teologii, przedstawiającym stosunki między ludzkością a Bogiem. Główny obraz, jakkolwiek nazwany „Dysputą”, przypomina raczej owe „święte rozmowy”, niż spory dotyczące się Sakramentu ołtarza. Jest to właściwie spierający się, walczący i tryumfujący kościół, połączenie niebios z ziemią; co tu jest celem marzeń i dążeń, tam znalazło już swe urzeczywistnienie. Dokoła ołtarza z Najświętszym Sakramentem, symbolem Zbawiciela, zgromadzeni są ojcowie kościoła, duchowni i świeccy, odtworzeni z wielką wyrazistością i doskonałością. Są to ludzie rzeczywiści, łączący z prawdą realną typową idealność, przejęci religijną myślą, która się u nich rozlicznymi sposobami wyraża, to pociągając do gorącej pobożności i wiary, to budząc samodzielne, rozważne dociekanie. Ojcowie kościoła, Dante, Fiesole, Savonarola, są tu kierowniczymi geniuszami. Tłum ludu stoi, by ich popierać, ale zarówno portretowane, jak i z własnej myśli wytworzone postacie, skutkiem odpowiedniego traktowania, harmonizują z całością. Po nad nimi rozwinęły się niebiosy, wśród których unosi się Chrystus błogosławiący, u góry Bóg-Ojciec, a pośrodku Duch Święty w postaci gołębia, pomiędzy aniołami trzymającymi ewangelie. Po bokach Matka Boska i ś. Jan, w głębi zaś sześciu świętych starego i nowego przymierza, opromienionych niebiańską aureolą, lecz mimo to zachowujących wybitną indywidualność charakteru. Wyżej jeszcze unoszą się aniołowie. W ten sposób utworzony jest cały obraz: w dole ziemskie dążenia i pragnienia, w górze cel niebiański takowych; w niebiosach panuje uroczyście symetria, w dole swobodny ruch, odpowiedni sytuacji. Całość pełna jest wyrazu i odtworzona z najczystszych poczuciem piękna. Tutaj, jak i na suficie Sykstyńskiej kaplicy, religijne malarstwo wieków średnich, o ile takowe przedstawiało nie akcją, lecz pewne stany umysłów, znalazło swe ostateczne wydoskonalenie, a chociaż podniosłość postaci Michała Anioła uderzała nas swą potęgą, jednakże Rafael zwycięża pięknocią kompozycji. Ten właśnie obraz najdobitniej nam pokazuje, jak mistrz z Urbino, zachowując ściśle reguły, osiąga zarazem swobodę artystyczną; jak na wzór starożytnych, zamiast subiektywnej swobody, daje przewagę konieczności przyrodzonej; przez co działa na nas równie uspokajająco i zadowalająco jak oni, podczas gdy Michał Anioł zmusza nas do udziału w namiętnym nastroju i burzliwych walkach własnego ducha. „Dysputa” właśnie posłużyła Henrykowi Crunniowi do wykazania prawa, według którego zasadnicze linie malarstwa kompozycji zlewać się winny z liniami geometrycznymi, wpływającymi z architektonicznych ram, obejmujących całość obrazu. Ramy te tworzą niski prostokąt, z rozpięciem na nim półkolem. Na przednim planie, u dołu, odpowiednio do bocznych filarów, panują proste, pionowe i poziome linie aż do samego ołtarza; w górze półkole przybrało kształt niszy, której podstawę tworzy wieńiec obłoków, unoszący błogosławionych; środek zajmuje Chrystus, a w gloryi jaśniejącej ponad nim od Maryi o Jana, odbija się półkolista rama całości, utworzona z podwójnego wieńca obłoków i aniołów. Na zasadzie tej prawidłowości rozwija się tu, podobnie jak u Leonarda da Vin-

ci i Bartolomea, cała swoboda indywidualnego życia, występująca tu jednak daleko pełniej i bogaciej.

W przerwie pomiędzy ukończeniem tego a pojawieniem się następnego utworu, przypadło odsłonięcie malowideł kaplicy Sykstyńskiej, których wpływ odbił się w Rafaelu w większej szerokości stylu i większej jeszcze swobodzie, przyczem jednak zachował on tę ścisłą odpowiedniość formy z przedmiotem, jaką widzimy w pełnej prostoty uroczyści „Dysputę”. Rafael sam głosił, jak szczęśliwym się czuje, iż przyszedł na świat za czasów Michała Anioła, ponieważ ten dał mu poznać inny całkiem rodzaj niż starzy mistrze.

Drugim obrazem Rafaela była „Szkoła ateńska”. Przedstawił on tu filozoficzny kierunek duchowego życia. Mężowie uczeni zgromadzili się w przysionku, którego sklepienie tworzy w perspektywie wiecznej głębi tenże sam łuk półkolisty. W pośrodku, obłani silnym światłem, stoją Plato i Arystoteles, zajęci żywą rozmową; pierwszy wskazuje palcem ku niebu, ojczyźnie idei, drugi wsparłszy silnie stopę na ziemi, zwraca się ku obecnej rzeczywistości; dokoła nich z prawej i lewej strony słuchacze, dalej zaś inne rozmyślające i wiodące spór postacie, a pomiędzy nimi Sokrates z Aleybiadesem. Na przednim planie z prawej i lewej strony widzimy liczne grupy: Zoroaster i Ptolemeusz z kulą ziemską i niebieską, jako przedstawiciele badania natury, a przed nimi matematyk, wykładający uczniom jakieś twierdzenie. Rozmaite stopnie pojętności, daremny trud i łatwe zrozumienie, są tu wyborne scharakteryzowane. Po drugiej stronie siedzą mężczyźni zajęci pisaniem. Chłopiec z tablicą znaków muzycznych, przedstawia system greckiej muzyki, jako wyborny środek wykształcenia. Mąż dojrzały, w stojącej postawie, wskazuje z pewną siebie świadomością na własną księgę, przed nim zaś siedzi inny, całkiem w rozmyślaniu pogrążony. Na schodach wyciągnął się swobodnie nieznaną potrzeb Diogenes. W ten sposób idea życia umysłowego jest jasno uświadomiona w całym obrazie i trudno wytłumaczyć sobie rozliczne błędne pojmowania takowe.

O ile w tych obu obrazach Rafael przedstawił się nam głębokim jak Dante, o tyle znowu w „Parnasie” jaśnieje powabną wesolocią Ariosta. Ponad łukowato sklepieniem oknem, spostrzegamy Apollina wśród muz i poetów starożytnych i nowszych, a z nich niektórzy zajmują niższe boczne ściany. Niedogodne warunki miejsca stały się tym sposobem powodem bardzo powabnego układu kompozycji, wprowadzającej nas na szczyt siedziby muz. Apollo gra na skrzypcach, muzy zaś nie są kopiami starożytnych, lecz powabnymi dziewczętami współczesnej epoki. Poezya jest tu nietyle zwiastunką wiecznej prawdy, ile ozdoba ziemskiego istnienia i kwiatem życia towarzyskiego. Laur i typowy, idealny płaszcz zdobą starożytnych i nowszych poetów. Homer, Dante, Safo, dają się łatwo rozpoznać pomiędzy innymi postaciami. Artyście chodziło tu nie o realistyczne portrety, lecz o różnostronne przedstawienie poetyckiego życia. Niektóre z muz ukazują się nam w blasku zmysłowego wdzięku, jak na przykład poezya na sklepieniu; inne mniej się udały, jeżeli mierzyć je będziemy skalą przez Rafaela samego nam dostarczoną. Na ścianie przeciwległej przedstawia nam on w dwóch wyrazistych, ceremonialnie chłodnych malowidłach, wręczenie prawnikom przez Justyniana kodeksu cywilnego, a przez Grzegorza XI zbioru kanonów kościelnych. Artysta powetował za to sobie i nam grupą rozmieszczoną ponad oknami: mądrość siedzi wzniesiona pomiędzy siłą a umiarkowaniem; potęgę publicznego życia znalazły tu pełne godności i wdzięku uosobienie.

Od tych idealnych obrazów, przedstawiających

spokojne momenta, zwrócił się Rafael (1511—14) do dramatycznie ruchliwych przedmiotów. W drugim pokoju mianowicie odmalował Wybawienie kościoła z grożących mu wielokrotnie niebezpieczeństw. Za przykładem starogreckiej i starochrześcijańskiej sztuki, potraçał tu ciągle o terażniejszość w przedstawianiu przeszłości. Ukazanie obdziercy świątyni, Heliadora, stało się symbolem wypędzenia Francuzów z państwa Kościelnego a zwyciężenie wątpliwości średniowiecznego kapłana podczas mszy w Bolsena stanowi aluzją do pokonania nowych błędów religijnych. Rafael wyobrazil w pierwszym i drugim papieża Juliusza II. Powalenie Heliadora przez niebiańskich jeźdźców i przez towarzysza ich, unoszącego się na rydwanie, tudzież wrażenie jakie to zjawisko czyni na grupie kobiet i dzieci, przedstawione jest w sposób godzien najwyższego podziwu. Cud krwawienia się hostyi wobec kapłana, niewierzącego w obecność rzeczywistą Chrystusa w ofierze mszy świętej, nie nadawał się do należytego unaocznienia malarzkiego; zato w przyglądającym się tej scenie ludzie pokazał Rafael, za wzorem szkoły florenckiej, ile piękności przedstawia życie każdemu, co umie z tego skarbu korzystać.

Odwrot Attyli z pod Rzymu, przemową Leona W-go wywołany, tudzież rozmieszczone nad oknem i głośnie ze świetlnych efektów oswoobdzenie ś. Piotra, przypominają Leona X, ówczesnego papieża, który jako kardynał wydarł się w Medyolanie z rąk Francuzów i starał się usilnie zasłonić przed nimi Włochy. Tu już Rafael zwykle szczegóły powierzał uczniom, w następnej zaś sali ręka jego niczego się nie tknęła, a ztąd wiele w niej kompozycji nie wychodzi po za granice pospolitych obrzędowych malowideł. Serce artysty usuwało się od udziału tam, gdzie nadworny malarz zmuszony był schlebiać Leonowi X. Czyny poprzednich Leonów miały uświetnić ostatniego, ztąd jego rysy nosi na obrazie papieża koronujący Karola W-go; w cesarzu poznajemy znowu oblicze Franciszka I króla francuzkiego, którego papież wówczas bardzo pragnął koronować. Ugaszenie pożaru przez Leona IV zapomocą krzyża nie nadawało się do obrazowego przedstawienia, gdyby bowiem artysta przedstawił palący się jeszcze ogień, to znikłby cud nagłego zagaszenia, a gdyby znowu wybrał moment po zagaszeniu, wtedy widz nie wiedziałby co ma znaczyć podnoszenie krzyża. Jakże więc wywiązał się Rafael z tego zgóry mu postanowionego zadania? Usunawszy papieża na dalszy plan, utworzył on rodzajowy obraz pożaru, w którym syn unoszący starego ojca, miotana wiatrem grupa kobiet niosących wodę i nagi, po murze spuszczaający się człowiek, zawsze przykuwać będą oko widza.

Sala znajdująca się po za temi pokojami została poświęcona historii Konstancy W-go (1518 r.). Tu zasługuje na uwagę głównie bitwa przy milwijskim moście, do innych bowiem obrazów Rafael skreślił tylko drobne szkice, które niezbyt wiernie zostały odtworzone na ścianach. Scena wojenna zato pokazuje talent mistrza z nową całkiem stroną; potrafił on tu nietylko oko i fantazją widza zająć epizodami walki, lecz zarazem dla ducha unaocznienie dziejowe znaczenie takowej. Na lewo od widza trwa opór i walka, wdali zgiełk wojenny; w środku Konstancy na wyniosłym rumaku, wywijając lancą, zmierza ku Maksencjuszowi, którego koń porwany został przez fale Tybru; tu rozstrzyga się zwycięstwo jednej, a klęska drugiej strony. Na prawo w dali jeździec Konstancy ściga ją po za most uciekających nieprzyjaciół. Przy ozdobionych krzyżem sztandarach cesarskich trąby oznajmują o zwycięstwie: nad głową cesarza unoszą się trzej aniołowie, zwiastuny

i świadki władzącej losami świata Opatrzności. W całym zgiełku i nieładzie bojowym panuje wszędzie poczucie rytmicznego układu linii, obfitość szczegółów, energia ruchu i wyrazu, w granicach piękności.

Zewnętrzna ściana tego pokoju wychodzi na krużganek, z którego przedstawia się wspaniały widok na miasto i okolice. Sklepienie pokrywają sceny ze starego i nowego testamentu. Jasność pomysłu i wesół wdzięk wykonania, zwłaszcza w tle krajobrazowym, stanowią tu górujący charakter i odpowiadają przedmiotowi; oko widza bez wysiłku może napawać się widokiem scen dobrze mu znanych i łatwo zrozumiałych. Obrazy stworzenia przypominają styl Michała Anioła, w następnych jednak wraca ujmująca prostota i naturalność. Szczytu jednak mistrzostwa dosięga Rafael w pełnej myśli opowieści o Józefie i w powabnej księżycowej scenie, przedstawiającej Izaaka i jego żonę Rebekę. Przytykająca do nich ściana błyszczy niewyczerpaną pełnią arabesk, stanowiących, w połączeniu ze sztukateriami i złoceniami, przepyszny, wielobrzmienny akord, rozwijający coraz to nowe odmiany linii i barw, rozkosznie radujących oko widza. Odkopane wówczas łaźnie Tytusa służyły im za pierwowzór; Giovanni da Udine i Perin del Voga wykonali świetnie te ozdoby, według wzorów Rafaela. Dekoracyjny kierunek renesansu dosięga tu najpełniejszego i czarownego rozkwitu. Sploty liści i kwiatów pną się po krawędziach ścian, podtrzymując ludzkie i zwierzęce postacie, lub przeplatając się z niemi na przemiany. Medaliony z ozdobnymi płaskorzeźbami mają rami z zieleni; rozliczne strony życia przyrody raz jeszcze ukazują się odrodzone lub uosobione w pojedynczych scenach i figurach mytologicznych. Jak dźwięki instrumentalnej muzyki, towarzysząc pełnemu uczucia śpiewowi, powtarzają i odtwarzają jego motywy w zmieniających się kombinacjach tonów, tak w tych arabeskach brzmia idee i nastroje malowideł sufitowych, w powabnej harmonijnej grze form i barw, wziętych z życia przyrody i dziedziń fantazyi.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Kobięta w Indyach, jęj przeszłość i przyszłość, przez Leona Quesnel.

(Dalszy ciąg.)

Młoda dziewczyna miała prawo wybrać sobie małżonka; rodzina winna jęj była dać posag. Mąż miał obowiązek obchodzić się z nią z szacunkiem. Co więcej: „miał być pośród jęj dzieci jako jedno z dzieci.“ Przywileje te stwierdza i ta okoliczność, że małżonkowie wchodzili do świątyni, trzymając się za ręce, jako dwoje równych sobie; że żona ofiarowała kadzidło na ołtarzu i że modlitwa jęj uważana była „za miłą Bogu.“

W peryodzie przejścia między czasami wedykami a bramańskimi, położenie kobiety pogorszyło się, a kodeks Manu, który jest ustawą bramanizmu, poniżył ją pod względem religijnym. Kobięta według jęj przepisów nie może już ani modlić się, ani ofiary czynić; niewolno jęj czytać pism świętych, a ujarzmienie narodu przez jedną klasę, klasę teokratyczną, uprzywilejowaną, posunęło się do ujarzmienia kobiety. Na domiar jęj upokorzenia, nakazywano wiarę, że tylko synowie sami mogą na grobie ojców swoich dopełniać ceremonij ekspiacyjnych, od których zależy spokój nieboszczyków. Kobięta, niemająca dziecięcia pleci męzkiej, przestaje być prawnie małżonką i inna jęj miejsce zastępuje. Szanowaną już jest tylko jako matka, i to jako matka potomstwa męzkiego. Podczas gdy księgi *Vedas* nazywają kobietę duszą ludzkości, kodeks Manu ogłasza ją za nieczystą i niezdolną do uzyskania przez siebie samej łaski u Boga.

A jednak, chociaż tak zdetronizowana, kobięta zachowuje jeszcze nawet pod prawem Manu swoje przywileje społeczne i domowe. Czytamy że ma być otaczana troskliwą pieczą ojca, brata, męża

i szwagra; że straszliwe klęski spadną na dom, w którym kobięta dozna zasmucenia; że nędza stanie się udziałem tego, ktoby ją usiłował ogołocić z majątku; że przeciwnie, szczęście nawiedzi dom, w którym ona będzie szczęśliwą i szanowaną; że „jedna matka szanowniejsza jest niż dziesięciu ojców,“ a nareszcie, że „człowiek cnotliwy będzie miał tylko jedną małżonkę, jak cnotliwa kobięta jednego ma tylko męża.“ Ale wszystkie te przepisy odnoszą się do opieki nad kobiętą, a nie do uznania jęj praw, od chwili bowiem gdy została wyłączoną od bezpośredniej styczności z Bogiem, czyli od zajmowania się naukami i filozofią, poniżenie jęj stało się faktem dokonany.

Gdy się pojawił Budda Szakia-Muni, na tysiąc może lat przed Chrystusem, nauka jego stała się dla całych Indyj hasłem do buntu przeciw kapłańskiej tyranii kasty bramińskiej. Wówczas równość męczyzny z kobiętą nanowo została ogłoszona. Wszędzie gdzie jeszcze panuje budaizm i gdzie dochował się choć częściowo w czystości pierwotnej, jak n. p. w Birmanii, kobiety używają podziśdzień wielkiej swobody, wybierają sobie mężów, przyjmują w domu swoim ludzi obcych, prowadzą handel na własne imię i żyją mniej więcej tak, jak kobiety w europejskich społeczeństwach. Ale reformator indyjski, zarówno dla męczyzn jak i dla kobiet, środek dojścia do doskonałości widzi tylko w unicestwieniu woli osobistej, w życiu pospólném, czyli w owym *komunizmie*, który później tyle głów zawrócił. To też budaizm, ten protestantyzm indyjski, który zrazu tak nagłe robił postępy, dzięki wzniosłej swojej moralności, nawet w Azji po kilku wiekach nachylił się ku upadkowi, jako religia sztuczna, to jest nieoparta na prawdziwej naturze człowieka. Inaczej jeszcze ukształtowało się położenie kobiet po najazdach muzułmańskich. Zobaczmy niebawem na kilku przykładach, że kobiety indyjskie straciły dzisiaj nawet pragnienie swobody. A najprzód przejrzyjmy poemata sanskryckie; z nich przekonamy się, jak wdzięcznym i szlachetnym był ideał kobiety, którym księgi *Vedas* poetów indyjskich natchnęły.

III.

„Ramayanę,“ poczytywaną za najważniejszy z pomiędzy tych poematów, nazwałby można hymnem na cześć kobiety, we wszystkich jęj stosunkach społecznych. Przyjrzyjmy się jęj treści.

Rama, syn starego króla Ayodgi (Oude), przeznaczony jest przez Stwórcę na pogromcę nieprzyjaciela rodu ludzkiego. Ale macocha jego Kekeyi, pobudzona do tego przez złą sługę, wy mogła na mężu, że wygnał na lat czternaście Ramę, a jęj syna, Bharatę kazał ogłosić następcą tronu. Straszliwą tę wiadomość odbiera Rama właśnie w chwili, gdy piękna Sita, narzeczona jego, ubiera się do ślubu i na koronację. Dowiedziawszy się o tej zmianie losu narzeczonego, Sita nie wydaje ani jednej skargi, ale odzywa się poprostu do niego: „Pozwól mi pójść za sobą.“ Rama powiada, że córka króla, sama przeznaczona do tronu, nie może chodźć w siermiędze i żyć pośród lasów. Posłuchajcie odpowiedzi Sity: „Ty jesteś moim panem, moim kapłanem, moją drogą i moim bogiem; pozwól mi pójść za sobą.“ Rama przedstawia jęj, że dzikie zwierzęta napelniają lasy i że delikatne nogi kobięce kalęczyć się będą o ciernie. Posłuchajcie jeszcze tych słów, pełnych odwagi i miłości: „Będę szła przed tobą i będę usuwała kolece ze ścieżki twojej!“ Potem, łącząc poetyczność z bohaterским postanowieniem, Sita rozwodzi się nad urokiem życia samotnego pod cienistymi drzewami, wśród kwiatów dziko rosnących. Oto wskazówka co do charakteru kobiety, jako żony.

Bharata dowiadyuje się, że matka jego zapewniła mu tron, ogołacając żęń jego brata. Oburzenie jego nie ma granic. Chce zabić złą sługę, sprawczynię główną całej tej zdrady. Rama powstrzymuje jego rękę, mówiąc: „Ta sługa jest chora, a przedewszystkiem ona jest kobiętą.“ Oto dowód poszanowania kobiety, wprost jako kobiety.

Stary król umiera, i Bharata błaga Ramę, aby wstąpił na tron; ale ten odmawia, nie chcąc być nieposłusznym ojcu, i obiera wygnanie. „Kochaj matkę twoją Kekeyi—rzekł do Bharaty—uczyn ją szczęśliwą, nie rób jęj żadnych wyrzutów; jest to mojem życzeniem i życzeniem Sity.“ Oto miara szacunku, jaki miano dla kobiety, jako matki.

„Mahabarata“ obejmuje całą galerię kobiet, prawdziwie podziwienia godnych. Oto ustępow Savitri:

Pewien wielki król miał córkę jedynaczkę, imieniem Savitri. Była ona piękna i dobra, a kiedy doszła do wieku, w którym mogła być wydana za męża, ojciec powiedział jęj, żeby w towarzystwie wiernych doradców szukała sobie małżonka. Savitri nie udaje się do wspaniałych pałaców ziemskich potentatów, ale do skromnych mieszkań anachoretów i pustelników. Za powrotem powiada ojcu, że wybór jęj padł na Satyawana, syna pewnego króla ślepego, który ogołcony został ze wszystkiego co posiadał i żył ubogo w lesie. „Niestety! niestety!“ zawołał mądry Narada, który był przy tém obecny. Zapytano starca o przyczynę tych westchnień, odpowiedział że duch objawił mu, iż dzielny i piękny Satyawan umrze za rok. Król namawia córkę, żeby szczęśliwszy wybór zrobiła. „Serce raz się tylko daje“—odrzekła i poślubiła młodzieńca.

Gdy ostatni dzień roku zaświtał, Savitri, która zamknęła była w sercu bolesną tajemnicę, prosiła małżonka, aby jęj pozwolił towarzyszyć sobie do lasu, dokąd szedł, wedle zwyczaju, ścinać drzewo i zbierać owoce. Satyawan wydawał się zdrowym i silnym; postępowali razem pod wielkimi drzewami, wśród świeżości poranku; ale około południa nagła słabość ogarnia młodzieńca; zmuszony jest usiąść. Savitri siada przy nim i kładzie na swoim łonie głowę chorego męża: Satyawan umiera.

Wtedy Savitri widzi ukazującego się ubranego czerwono Yamę, księcia ciemności, który odrywa duszę od więzów cielesnych, opasuje ją sznurem i wlecze za sobą do swego państwa. Savitri idzie za duszą swego męża. Z pokorą, ale odważnie walczy przeciw straszliwemu Yamie, chcąc mu wydrzeć swego ukochanego. Walczy, prosi, błaga: „Pozwól żyć mojemu Satyawanowi!“ Aleستا indyjska idzie aż na samo dno piekieł, upominając się o swego małżonka. Kiedy nareszcie miłość odnosi nad śmiercią zwycięstwo, kiedy odzyskuje Satyawana, wraca na miejsce, w którym martwe ciało pozostało. W chwili gdy młodzieńiec budzi się, jakby ze snu, ona mówi do niego z niewymownym wdziękiem, nie wydając się i teraz ze swoją tajemnicą: „Wstań, o mój najukochańszy, twój sen się skończył; wróćmy do domu twego ojca. Ponieważ słaby jesteś, poniosę twój koszt i twoje siekiere, a ty oprzyj głowę na mojem ramieniu.“

Są to naturalnie poemata alegoryczne, ale im znaczenie ich jest wyższe, tém i doniosłość roli kobiety większego nabiera w nich znaczenia. „Mahabarata“ zresztą jasno wyraża się w tym przedmiocie, gdyż mówi w jednym miejscu: „Kobięta jest chlubą rodziny, jest życiem i duszą męczyzny. Ona to daje mu dzieci. Ona jest jego połowicą, jego najlepszą przyjaciółką, źródłem całego jego szczęścia. Tkliwe słowa żony są dla niego ochłodą w pustyni życia.“

Oto ideał; a teraz przejdźmy do rzeczywistości.

IV.

Listy poufne najlepszym są zwierciadłem stanu umysłu i obyczajów ludu lub epoki. Jest to natura schwycona na uczynku. Co większa, gdyby nawet były wypracowanemi, wykazywałyby zawsze, mimo nawet woli ich autora, kształt i stopień jego inteligencji. Podamy więc tutaj w przekładzie kilka ustępów z listów kobiet indyjskich, pisanych w tych czasach w narzeczu bengalskiem do dam angielskich, a ogłoszonych w *British quarterly review*, w styczniu r. b. Zobaczmy w nich ślady wielkich zdolności, stłumionych niesłuszny naciskiem i nadużyciami.

(Dalszy ciąg nastąpi.)